
CZARTAK

MCMXXII

I tak ja widzę przyszłą w Polsce sztukę,
Jako chorągiew na prac ludzkich wieży,
Nie jak zabawkę ani jak naukę,
Lecz jak najwyższe z rzemiosł apostoła
I jak najniższą modlitwę anioła.

NORWID

I. N. PIERWSZEGO LUTEGO TYSIĄC DZIEWIĘĆSET DWUDZIESTEGO DRUGIEGO ROKU R. I.

CZARTAK

MIESIĘCZNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY
POD KIERUNKIEM EDWARDA KOZIKOWSKIEGO,
JANA NEPOMUCENA MILLERA, EMILA ZEGADŁOWICZA.



— manifesty, programy, bezprogramowości, gigantyczne recitale, hasła, hejnały, tromtadratyzmy, fidrygalizmy — wszystko to obmierzło do cna —

— z bezdróż wyszedłszy — w bezdroża wiedzie — łatwizna efemerycznego powodzenia —

— wstyd o tem mówić —

— jokulatorem stał się poeta — publiczność oczekuje od niego zabawy, niespodzianki, śmiechu, podniety, głupstwa, wykrzywiania, żonglerstwa —

— śmieszyć, zadziwiać, oburzać — oto programowe czasowniki — esencjonalne wszystkich kierunków, ugrupowań, socjet i band —

— nieporozumienie ogólne: talent szarga się w brudzie, maniactwo, nieuctwo i bezczelność drapuje się w autorytet sprawiedliwego zbrodniarza — „noworisz“ rozdziawia pysk — czuje nóż w brzuchu — ale, ale: może to sztuka? — właśnie, właśnie — twoja i twej bezduszności niemiłościwej sztuka błazeńska —

— wszystko co wielkie, płomienne i czyste zaszywa się w kąt, skrywa się w samotności —: trzoda! trzoda idzie!

— hohej! — pył, zawierucha — w hałaśliwie sprzecznych pokrzykach — zagubi się słuch — żwir oczy żre —

— doprawdy czy aż tak źle jest —?—

— przeto stwierdźmy:

— istniały dotąd w polsce dwie tylko formy ujawnienia się poetyckiego: poezja czynu i poezja wywczasów, pobudka do boju i nieproźnujące próżnowanie, apel do szeregu i kabaret; morał społeczny, nakaz patrjotyczny, żelazne powrósło upiornego obowiązku i — wypinanie sparszywiałych grzbietów ku słońcu, epikurejskie drapanie swędzącej skóry, straganiarstwo, szopka i semicko-rosyjski nihilizm —

— albo zduszenie własnego życia wewnętrznego, prometeiczna ofiara całopaleń, albo — karjerowiczostwo poetyckie, łaskotanie paskarskich podbródków, merkantylizm, „wolny handel“, reklama —

— zdajemy sobie w pełni sprawę z tragicznej konieczności pierwszej drogi w okresie niewoli; zdajemy sobie również w pełni sprawę z jakości duchowego podłoża, na którem wyrósł najnowszy plagjat rosyjski, rozbijający swe budy jarmarczne w warszawie i krakowie —

— polska niepodległa musi się zdobyć na nową sztukę, któraby udowodniła jej prawo do samodzielnego bytu w rodzinie wolnych ludów, śród których zasiadła; odrodzić się sztuka polska powinna bez zezów wallenrodycznych i bez czkawki odbrzusznej na podłożu **duchowej czystości, rzetelności, prawdy, zachwytu i olśnienia** przed wiecznościowemi perspektywami życia narodu wolnego, co własnem czuciem przenika krąg swych przeznaczeń; jak z pierwotnych form pracy człowieka: żniwa i kośby, orki i zasiewu, rąbania i kucia powstały pierwsze rytmy poddawcze tańca i poezji: więc kowalski daktyl, więc trochej żniwiarski, jamb siewny i dyjambowy polonez, tak nowym formom pracy mięśni, umysłu i bijącego serca oddźwięczeć powinny nowe harmonje i nowe wcielenia —

— tędy idziemy — w bezgdzieś wszelkich możliwości —

— z ducha wolnej i nieskrępowanej pracy człowieczej czerpiemy odżywczy dech i anteuszową moc odrodzeń i przetworzeń —

— oto tęsknotą wołana nowa forma poetycka swojskiego wyrazu wszechludzkiej i kosmicznej treści, co wypełnia nam dusze —

— wsłuchani w rytm nieodgadły krwi pędzonej w żyły pracą rodzącej się z mgławic majaków w kształt zakutej zjawy, wołamy: — wyrazu, któryby w pełni oddał krzyk uczłowieczonej przez dzieje duszy polskiej —!!

— nie przez poezję czynu, lecz przez prozę pracy idziemy do sztuki —

— poeta idący będzie pełnym i donośnym głosem nowego typu człowieka, co w lucyferycznej dumie boskiego w sobie wyczucia, w pełni świadomości, wiedzy i spiętrzonej do skoku ucieleśnień woli nieulękłym wzrokiem przenika bytu swego tajemnicę —

— oto punkt wyjścia —

— o przyszłości nie rozstrzygamy —

— nie budujemy murów obronnych, nie zarzekamy się niczego (chyba rzeczy zetlałych i przezwyciężonych, chyba dwudroża dotychczasowej sztuki w polsce) —

— ślubujemy życiu —

— nie zdziwcie się tedy, jeśli nie znajdziecie nas w oczekiwanym miejscu —
— będzie to wina albo waszych oczu, albo naszych niewidek, albo... albo...
...nakazu DROGI

która nas wywiodła poza krąg znaczony na szerokie, nieprzewidziane jeszcze, ukryte dla oczu naszych widnokręgi —
— świadcząc zaś o początku wędrówki, znaczymy tu wielkie, echowe w swej treści i pogłosie słowo:
idziemy!
i jeszcze to jedno zawołanie: **D-R-O-G-O!**

— szara, zapylona wstęga wiodąca Skąd-Dokąd;
w cieniu topoli, wierzb i kasztanów —
poprzez noce i dnie, deszcze, burze, zawieje i posuchy —
snuje szarą opowieść śród łanów i lasów, dolin i wzgórz —
mijanie,
przemierzanie,
okalanie

miast, wsi, zaścianków, osiedli —
— ni dobra, ni zła —

obojętna —
bezmiernie —
smętna, jak tęsknica —
zmienna jak pogoda —
tajemnicza jak życie — —
— wzrastały osady; upadły; pokolenia za pokoleniami smętarnych
błoni zasilały huf —
ona — od pamięci starsza trwa
ludziom na pociechę —
ludziom na ból —
— dawny bity królewski trakt w kolasach zasobnych i szumnych zastępach
rozwiózł sen o nieziszczalnej potędze
roztrwonił przeszłość wybrzmiałą
zszargał serca w pyle
sponiewierał myśl wolną i
przetrwał —
— aż sen o odrodzeniu skrzyknie się w jawę!
— aż krew wychluśnie w szkarłatny sztandar!
— aż myśl spłomieni się w ogień niedoczesny!
— czeka!
— tymczasem
prowadzi wszystkich jakichkolwiek: Skąd-Dokąd —
(— trud na podorędziu —) —
aż On,
aż On: JEDYNY
stopami wypali niegasnące, najświętsze runy —
. . . .
. . . .
— szara jak codzień, conoc
witane i żegnane dźwięczną pio-
senką loretańskiego dzwonu —
ave! ave!
przepowiadam orędzie Wolnych i Chcących:
zbudźcie się bracia
wielkiej PRACY —
— posłuszna jestem wam —
— BRACTWO —
zbyj lękliwych stąpań
niechaj zatętni gromko krok —
niechaj zwichrzy się głąb
niechaj zadrży wyż
zaklęte w sen —
ŚWIT!
srebrzy się i różowi i krwią zalewa —
— wołam cię: WIELKIEJ PRACY BRACTWO —
— twoim jest świat wszerz i wzdłuż — wgłąb i wwyż —

PIAST
(HYMN PHALLICZNY)

Oj — chmiel się chmieli,
popiel się popieli,
piast piastuje piastę —
na zmierzwionej ścieli,
w murowanym dworze —
to na dół, to ku górze...

Z przedświątynnych obelisków straży
w czuwań niemych żywotwórczym patosie;
w wyprężonem pragnieniu menhirów,
co jak skalne po wiekach pokłosie
w życiodajnym skamieniały śnie;
w betylowej kolumnie nad progiem,
co podpiera wrota Miken lwie —
oj — chmiel się chmieli,
popiel się popieli...

Z Himalajskich niebotycznych gór
granitowych swych prąci ożogiem
w skłębowinach skołtunionych chmur
tryskających w słońca płodną piastę
nad szczyt śnieżny i chmury pierzaste —
oj! — chmielu!...

Strzelistością minaretów, wież,
czuwających nad bramami baszt,
nad gotyckich kościołów zaprożem —
to na dół, to ku górze...

W chuci rwącej skamieniałych czuć
herm przydrożnych, nadgranicznych słupów
i sąsiedzkich na śródmiedzach kup —
oj! ściele się, ściele
chmiel, bujne ziele...

Z pępowiny Delfickiej wyroczni,
z środka ziemi ku szczytom Parnasu;
zagubiony wśród cedrowych lasów
w skalnych cudach świętej Jelidoczni —
na zmierzwionej ścieli,
w murowanym dworze...

Z zaplecionej na ściernisku brody,
z pępka zboża — postrachu żniwiarek,
ze sterczącej z głębi nurtów kłody;
z rozkopanej ciosem rydla ziemi,
z rozoranej żelaziwem skiby,
co otwiera swoje sromne wargi,
gdy ją pług dogłębnym rzutem porze —
to na dół, to ku górze...

Z pękającej pod oskardem skały,
pod kilofa miażdżącym obuchem
w skłębionego zapłodnienia pyle,
gdy sztolniami idą echa głuche —
oj! chmiel się chmieli,
popiel się popieli...

Z obnażonych granitowych szczytów,
z orlich w słońce uskrzydlonych perci
nad przepaścią zatraty i śmierci,
gdzie w okolu rozwichrzonych drzew
zdruzgotanych przez wichry w sabatową noc,
spłomienione od słońca gasnącego krwi
nad pomrocze borów wyniesione lśni —
nieme gołoborze...

Z wbijanego w miazgę ziemi pala,
z gwiezdnej spermy pod młotem kowala,
w zgiby piasty wpychanego piasta —
oj — chmiel się chmieli,
popiel się popieli
to na dół, to ku górze
w głębi ziemi, w marmurze,
w złomach węgla, w gór szybie,
w ciał sprzężonych parami splecionym
[przegibie...

Kłośna broda ugory zarasta,
kłośne wichry się pieszczą po świecie,
kłośne zmowy i kłośne zamiecie —

Chmieli się, chmieli
na zmierzwionej ścieli,
w murowanym dworze,
na ścierni i w komorze
— mistyczne pną się róże —
to na dół, to ku górze...

Jan Nepomucen Miller

BALLADA

ZAWIŁA, SERPENTYNĄ SPADAJĄCEGO LIŚCIA NA ZŁOTĄ ŁĄK AGONJĘ RYSUJĄCA ZJAWĘ POETY, ŚRÓDŚCIERNIE DROGI I BEZKSZTAŁT ZISZCZENIA

— serce — serce — serce miłujące —
— kwiaty wonne, boże kwiaty na łące —
—
— serce — serce — serce utęsknione —
— słońce złoci starych olsz koronę —
—
— serce — serce — serce zżarte męką —
— wiatr się zwierza jękom i pojękom —
—
— serce — serce — serce zatracone —
— w zorzę wklęty gorzeję i płonę —
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — widać
— choć nie do wiary — był taki rok
i noc była taka — i dzień —
w który zakochał się mrok
i cień
(— pod wachlarzem łopuchu —)
w wędrownym, nieustannym, zabłąkanym du-
[chu —
—
— był taki — choć nie do wiary —
był taki rok —
— trza jeno wierzyć w czary
znać mrok
i cień —
— — —
— był taki dzień —
— — — — — —
— dnie się zapodziały —
noce zawichrzyły —
słońce nie wschodnieje —
księżyc chmury skryły —
ziemia się zapadła
gwiazdy zatraciły —
— — — — — — —
— zawoniały macierzanki,
skabjozy i mięty —

ZESZŁY SIĘ TRZY PORANKI
NA JEDEN DZIEŃ ŚWIĘTY —
na dzień jeden — na chwilę
tego przedsięwzięcia,
które miało być cudem
dziś — i od poczęcia —
—
— zapachniały lelije,
trzmieliny, tarniny,
dziewanny i maki —
nad głową łąk dziecięcia
co dla niepoznaki
właściwie był dziecięciem —
— był bowiem jeno blaskiem
zapachem i miodem,
zorzą, zmierzchem i jutrznią
przysłonkiem i chłodem —
— był dźwiękiem pokumanym
z wszelijakim losem —
młak i zalesi dymnych
był głosem pogłosem —
—
a że niesamowicie
romtajdiadana
zapoczął jakieś życie
od jakiegoś rana —
zapomniał pomyleniec
co znaczy być — niebyc —
i JEST tem czem BYŁ niegdyś
i tem czem mógł niebyć —
—
— a żyjące w rozemgle
zjawy i przejawy
widzące krąg powszedni
przespanej niesławy —
współczują z nim w kamractwie
chocia jacytacy —
nie wiedząc, że go niema —:
— bowiem żyje w PRACY

ziół wszelkich i zarośli,
ziemi, chmur i wody —
stary wieczną młodością —
tą starością młody —
— a żyjące w rozemgle
zjawy i przejawy
przygodnie wątłem sercem
do dębów przyrosłe —
zapominają — patrząc w rozżagwione zorze,
że go niema — poprostu — bo go być nie może —
— a żyjące w rozemgle
zjawy i przejawy —
czytając nieme głoski
w legendarnej głosie —
rzekomo — (ach!) poznają
poetę po głosie,
po postaci,
po cudacznym nosie,
po palt gorszej sorcie,
po odznakach szczególnych,
które w którejś rubruce
widnieją w paszporcie —
— i koniec —
lecz rzec komuś
rzecz inkszą:
,że ot w muchomorze
nakrytym zawadjacko krasnym kapeluszem
wzmaga się jurna duma
i skrzy animuszem —
bo się oń gęślarz oparł
idący z sindbadem
za muzyki odśnionej
zwiastowaniem bladem — —
— a! to rzecz zgoła inna —
— to sprawa niepewna —
— na poły zblagowana —
— na poły — no — śpiewna,
poetycka — czy jakaś —
— a właśnie!
a właśnie!
w tej innośći —
— zaiste —
i w tej niepewności —
— doprawdy —
i w śpiewności —
— a wreszcie:
w poetyczności — oto
zaślubiamy się wiernie
z najgłębszą istotą
nieuchwytności wszelkiej
i onej podnięty,
którą winniśmy czerpać poezję z poety —
— — — — — — — — — —
— lecz to tak mimochodem
(na słów marginesie)
— boć przecie: — wiatr łaskawy
z ziarnem plewy zmiecie
i rzuci na wsze strony — —
wedle przypowieści:
jedne padną na glebę
inne na opokę —:
więc pocóż znów przesadną
troskać się rozwagą —
— — — — — —
sad zaklęty, pasieki,
mrozy, szrony, spieki,
wierzby, zioła, trawy,
wyprawy
sindbada —
czarodziejska plejada
wysp złotych i zielonych
co w wieczność zapada
jak w sen, który się przyśnić zapomniał —
— owe dziwaczne słowa
— tak konieczne właśnie —
idące przez bieguny
w zbeskidziałe baśnie —
to wszystko tak jedyne, przekochane, warte —
rzucone talizmanem na jedną wróżb kartę —
zazębi się w dniu onym
w dniu POWROTU SERCA
w supły i osnowiska
bożego kobierca
i bratnią —
— drogę mleczną —
zwzorzy — po tę gwiazdę nieznaną
ostatnią
zawieczną —
— — — —

— z nawrotów oszołomień,
klechd i zszezamienia
zatli się kwietny płomień
z płomieni w płomienia —
— — — — — — — —
— — — —

wyhaftował mróz
na witrażach kwiaty —
wychuchałem krąg
by spojrzeć w zaświaty —
—
pozostałem tu
wzrok mój poszedł dalej —
aleć ptacy snu
z dróg go odwołali —
—
wrócił wzrok lecz już
ślepy na zrojone —
ujrzał krzewy róż
słońcem wyognione —
— — — — — — —
o rozważania rozwiewne
o kolędnice wyśpiewne
słowa konieczne
zespołem
szumiące nad głową
rozkołem
jaskółek i dzieżb —
o mądre przegibne ruczaje
gaje i olsz smętarzyska
z wiodącą aleją wierzb —
o kłosów szumiące zgłoski —
kolumn łęgi —
maków inicjały
modre iluminacje
bławatów —
        — boże księgi
w obramieniu kąkolów i wyk —:
złoty płomienny krzyk:
słonecznik
w słonecznych skrach
marzący bezludnie —
i mędrzec — wichrów pasterz
niewierzący w ochronę
przyjaciel zajęcy i wron
jednonogi, głuchy i ślepy strach
schylony pod wichrów zgon —
— południe —
            — południe —
                        — południe —
                        — — — — —
TAM!!!
— idę — i wracam — kołuję
— tu — tam — tamtędy — owędy —

— poprzez godzinki, kolędy
w osamotnionym wygwarze
zasłyszeń własnych i obcych
idę i wracam —
— w podróże zmierzam
zalękły dworców jarmarkiem i krzykiem —
tobołów, bagażów naporem —
i ciżbą u kas —
— lecz czas —
— już czas —
— — a potem — — potem przedmieścia
tak przeraźliwe przedmieścia —
a potem — łąk skrawek — raz — drugi —
i lasy i góry i chmury
przelotne —
        — ochotne —
                — samotne —
                        — jak ja —
i pory roku
jak krzyż wplecione w snów czterowiersze —
— tu i tam — przestrach blady
            — radość
            — słoneczny ożenek
            — stół pod lipą
            — pszczeli czar
            — bochenek razowy
            — i mleka gar
            — — — — — —
wędrowca odwieczerz —
— i znowu
— i znowu — nic — jeno — drogi
                        drogi
                        drogi
                            zapylone
                            zasypane —
— smutek bezbrzeżny — świt blady
i dzień — i zmierzch — i noc —
i zagubione ślady
            ślady
            ślady —
                — zasypał je śnieg
                pod zachodnie zorze
                chłodliwością zległ
                na błędne bezdroże —
                —
                zaskrzepił je lód
                — wypełnione łzami —
                zapodział się cud
                pod memi stopami —

—
skąpał je zórz blask
zsuszyła wichura
— IDĘ ŚRÓD STU MASK
SWEGO SOBOWTÓRA —
TAM!!!
— idę — i wracam — kołuję —
— tu — tam — tamtędy — owędy —
— poprzez godzinki, kolędy
w osamotnionym wygwarze
zasłyszeń własnych i obcych
idę i wracam — miedzami —
w pokutującym obrzędzie
a wargi me ważą i marzą
odpowiedź
co z zasłuchania wybędzie
w dniu onym POWROTU SERCA
kiedy się słowa i czyny
zawęźlą w krzepką osnowę
bożego kobierca —:

—

ubezdnionych ustroni suma niewygrana
wydzwoni się, wydzwoni zza któregoś rana —

—

a czy to dzisiaj będzie, jutro czy w niedzielę
w jednej bezma kolędzie ptak gniazdo uściele —

—

modre zamglonych dali nierytmiczne wieści
jutrznia złotem rozpali i srebrem upieści —

—

zasnuje się pajęczą świat widzialny siecią —
wypłoni się dal tęczą jak majówka dzieciom —

—

modlitwa z rąk się wiści w serce i pożogę —
zamętem wonnych kiści zaścielą sny drogę —

—

dziewanny i bławaty wychylą się z pieśni —
zakwitną aromaty jak sad białych trześni —

—

aż wreszcie w zmownym rzucie kwiaty ptaków lotem
wchmurzą się w wichrów czucie śródgwiezdnym łopotem —

—

i oto już się stanie w świętem podniesieniu
za czem wzrok nieustannie marzył w zdarzeń cieniu —

—

stanie się rzecz opaczna jakby nierozumna
lecz właśnie przezto znaczna — pokorna i dumna —

—

i wtedy się marzenia w sobie zapodzieją —
ulecą od niechcenia z bezlotną nadzieją —

Emil Zegadłowicz

KARCZMA

MIĘDZY NIEBEM A PIEKŁEM, WŚRÓD SŁYNNYCH BEZDROŻY,
KTÓRE LOTEM STARANNIE POMIJA DUCH BOŻY,
STOI KARCZMA, GDZIE WIDMA UMARŁYCH OPOJÓW
ŚWIĘCĄ TRYUMF SWYCH SZAŁÓW PIJACKICH I ZNOJÓW.
SKĄPIEC, CO, MRĄC, OSTATNIE POŁKNĄŁ AMETYSTY,
ZNAJDZIE TU ZA DWA GROSZE NOCLEG WIEKUISTY, —
I ZBRODNIARZ, CO W BŁYSK NOŻA ZACHOWAŁ SWĄ WIARĘ,
ZDOŁA TUTAJ NIE JEDNĄ NADYBAĆ OFIARĘ, —
I NIERZĄDNICA, SENNYM WABIĄCA PACHNIDŁEM,
BRWI, NABYTEM W TEJ KARCZMIE BARWI BŁĘKITNIDŁEM,
BY SIĘ MIZDRZYĆ DO CIENIÓW JAKIEGOŚ TŁUŚCIOCHA,
CO PO ŚMIERCI W TYCH BARWACH LUBIEŻNIE SIĘ KOCHA.
I SĄ W KARCZMIE GRAJKOWIE, STŁOCZENI W KAPELĘ,
CO DBAJĄ O PLĄS CIENIÓW I O ICH WESELE,
A GRAJĄ IM TAKIEGO SZCZĘKACZA — BRZĘKACZA,
ŻE KARCZMA Z TANCERZAMI W OTCHŁAŃ SIĘ ZATACZA
I, PRZYŻBĄ PRZYTUPUJĄC, WSTRZĄSA TŁUM ICH DZIKI,
AŻ IM W ŚLEPIACH MIGAJĄ TE KRWAWE ŚWIERSZCZYKI!
JEDNA TYLKO ZA PIECEM UKRYTA STARUCHA,
MAĆ PIĘCIORGA WISIELCÓW — TEJ WRZAWY NIE SŁUCHA .
I, POŚMIERTNIE SKULONA, ŚNI W SOBIE PO CICHU
CUDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI, SPEŁNIONEJ NA STRYCHU,
I, ZAWZIĘCIE SŁODKIEMU ODDANA WSPOMNIENIU,
GRA POLKĘ — WYTRZYKĄTA NA RDZAWYM GRZEBIENIU.

BOLESŁAW LEŚMIAN



Edward Porządkowski *Misterjum*

JADWIGA

Cień za cieniem się ugania, a motyla motyl ściga, —
Rozpłakała się w lesie niekochana Jadwiga.

—„Raczej ciało niepieszczone wilkom rzucić w bór za borem,
Niż nie zaznać pieszczoty choćby nawet z potworem! " —

I wypełznął czerw z pod ziemi zwilgotniałym pyskiem czynny.
—„Ot ja ciebie popieszczę! Ot ja właśnie — nikt inny! " —

Obejrzała się na drogę i na tuman po za drogą.
—„Oprócz ciebie na świecie niemam, czerwiu, nikogo! "

Legła przy nim na murawie, głowę wsparła o kamiążek,
Miała kilka pierścieni i łez kilka i wstążek.

—„Owom — twoja! Pieść do syta! Nie szczędź w lesie mego ciała!
Jam tu przyszła nie po to, bym się sama ostała"...

Wiatr warkocze jej z ramienia na to drugie ramię przesuł,
Ona była nieswoja, a on rad był i wesół.

Pyskiem własił się i włudził w piersi wonne, jak dwa jabła,
Aż Jadwiga stęknęła, aż Jadwiga osłabła.

Krew jej w głowie zahuczała pogrzebnego echem dzwonu,
A to była choroba — i już blisko do zgonu.

—„Inni boją się miłować krwi schorzałej szalenizn ę,
A ja nawet potrafię kochać ciała zgniliznę! " —

I przeniknął pieszczotami bezpowrotnie aż do kości, —
Nie, — nie było na świecie tak niesytej miłości!

Niewiadomo, co za szumy z czasu w bezczas zaszumiały,
Gdy obnażył się w słońcu szkielet biały, bo — biały!

Maj był w lesie i na polu i opodal — na rozstaju, —
W maju działo się właśnie — tyle jeno, że w maju.

Słychać było, jak w gęstwinie wiatr się krząta i chrabęści, —
Tedy szkielet poskoczył i zacisnął swe pięści !

—„Powiedz, czerwiu, gdzie jest tysiąc obiecanych w niebo ścieżek"?
A on tylko popatrzył — i nic nie rzekł, nic nie rzekł...

—„Powiedz czerwiu, czy Bóg widział moje męki, moje żale?
I czy jest On w niebiosach, czy też niema go wcale? "—

A on zadarł pysk ku niebu i mackami wzruszył dwiema
I pokazał na migi, że go niema, bo — niema!

Więc ku snowi wieczystemu uchyliła nieco czoła
I spojrzała w zaświaty, a tam nicość dokoła!

A tam — nicość, rozścierwiona od padołów aż do wyżyn!
I tańcował i śmiał się biały szkielet Jadwiżyn...

Bolesław Leśmian

SŁOTA

STRUGI ULEWNYCH DESZCZÓW I STRUNY HARFIANE
RÓWNAJĄ POETYCZNIE MYŚLĄCY LUDZISKA,
JA, — ILEKROĆ SIĘ W TAKI INSTRUMENT DOSTANĘ, —
JESTEM JAK ZGRZYT, CO W RZEWNĄ MELODJĘ SIĘ WCISKA.

Z KOŁNIERZEM PODNIESIONYM PRAWIE WYŻEJ NOSA,
POLICZKOWANY WODĄ, PÓŁ NIEMY I GŁUCHY,
CZUJĘ, ŻE WE MNIE SĄCZĄ ROZMOKŁE NIEBIOSA
DRESZCZ WSTRĘTNY, JAK MIŁOSNE SPOJRZENIE STARUCHY.

NIBY CAŁUS OBMIERZŁY WODA W BUTACH MLASKA,
Z PODESZWĄ NIEODPORNĄ WIODĄC FLIRT ZAŻARTY,
KTÓRY CZASAMI MĄCĘ, KLNĄC BOGI I CZARTY,
GDY MNIE BŁOTEM OBRYŻDŻE PĘDZĄCA KOLASKA.

A JEDNAK, KIEDY SŁOTA DO OKNA ZASTUKA,
ZAWSZE MIĘ COŚ PRZYMUSZA WYBIEDZ Z DOMU KU NIEJ,
CHOĆ WZBRANIA KATARALNO-MORALNA NAUKA
DREPTAĆ PO MOKRYCH BRUKACH, JAK PO KWIETNEJ RUNI.

COŚ ZACHĘCA, COŚ KAŻE, KAPRYŚNIE A MILE
WICHURZE SPŁATAĆ FIGLA Z PRZEJMUJĄCYM DRESZCZEM,
Z NIĄ, NA NIEJ, JECHAĆ NIBY NA ŁYSEJ KOBYLE
I NA MIASTO ZAMGLONE, ROZKISŁE, SPAŚĆ Z DESZCZEM.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

PARĘ ZARZUTÓW PRZECIW FUTURYZMOWI

Na temat tego czem jest futuryzm, formizm, ekspresjonizm, kubizm i inne kierunki panuje wśród publiczności zamięszanie wprost piekielne. Ogólnie jednak, z powodu tego, że futuryści w najbardziej krzyczący sposób swoją sztukę reklamują, wszystko, co nowe i do starej sztuki niepodobne oznacza się mianem futuryzmu.
Muszę zaznaczyć zaraz na wstępie, że jakkolwiek cenię niektóre utwory Wata, Sterna i Jasieńskiego, z punktu widzenia Czystej Formy, w szczególności zaś książkę Wata p. t. „Ja z jednej i Ja z drugiej strony mego mopso-żelaznego piecyka“, to jednak, co do teoryi Sztuki, poglądów społecznych, a nadewszystko co do metod działania, stoję na, dyametralnie przeciwnem względem nich, stanowisku. Aby różnicę tę uwydatnić, postaram się streścić w paru słowach istotę mego stanowiska, odsyłając dla bliższych wyjaśnień do książki o nowych formach w malarstwie i do artykułów w „Skamandrze“.
Twierdzę, że Sztuka jest wyrazem tego, co w braku lepszego terminu, nazywam „uczuciem metafizycznem“ i co definiuję, jako bezpośrednio, a nie rozumowo, daną jedność osobowości, czyli jedność naszego „ja“, w przeciwstawieniu do nieskończonej wielości całości Istnienia. W Sztuce uczucie to, które może być obudzone innemi jeszcze środkami n. p. filozoficznem rozmyślaniem, przejawia się bezpośrednio w postaci konstrukcji jakichkolwiek zresztą elementów, prostych, lub złożonych, a więc: barw, dźwięków, słów, lub działań na scenie. Konstrukcję tą, w której wielość elementów przedstawia się w postaci jedności, niewytłomaczalnej ani logicznie, ani psychologicznie, nazywam Czystą Formą dzieła Sztuki. Ponieważ jednak dzieła tworzą ludzie żywi, a nie abstrakcyjne duchy, w każdem dziele Sztuki znaleść muszą wyraz nieistotne, a jednak w samym procesie tworzenia konieczne elementy życiowe: uczucia, wyobrażenia, kombinacye pojęć, mające mniejszy, lub większy, sens logiczny i życiowy i działania, będące mniej, lub więcej, podobnemi do działań rzeczywistych ludzi, czy nawet fantastycznych stworów.
Jeśli raz uznamy, że istotą dzieł Sztuki jest ich Forma i wyrażone przez nią uczucie metafizyczne, nie powinno nas już obchodzić, czy przedmioty, nadające w malarstwie i rzeźbie napięcia kierunkowe massom kompozycyjnym i uczucia, nadające w poezyi i muzyce napięcia dynamiczne częściom utworów tych sztuk, lub działania nadające takież napięcia częściom sztuk teatralnych, przypominają przedmioty, uczucia i działania, które napotykamy w życiu. Tak sformułowana teorya Czystej Formy przedstawiana jest zwykle przez ludzi, którzy jej dobrze nie rozumieją, jako teorya Bezsensu w Sztuce. Zaznaczam, że obstawanie za sensem życiowym i logicznym i przedstawieniem świata i życia w Sztuce jest zupełnie równoznaczne z propagowaniem bezsensu jako takiego. Jest to ten sam realizm, tylko odwrócony i to zarzucam właśnie futurystom.
Podobną pomyłkę w teoryi swej robią ekspresyoniści, którzy, dziwaczność życiową swoich dzieł, będących w większej części doskonałemi dziełami Czystej Formy, usprawiedliwiają twierdząc, że wyrażają nowe, nieznane, czy też bardzo zawiłe stany psychiczne, czy też poglądy na rzeczy, których wyrażeniem dawna Sztuka się nie zajmowała. Fałszywe teoretyzowanie własnej twórczości, nieraz pierwszorzędnej, jest pomyłką obu tych kierunków i powodem wprowadzenia w błąd publiczności. Co innego jest program danego „kierunku“, jako program właśnie coś wątpliwej wartości, bo ostatecznie kierunki stwarzają zawsze pewne wyjątkowo potężne indywidualności, a co innego jest istotna, czyli, używając terminu Edmunda Husserla, eidetyczna ogólna teorya Sztuki, mająca na celu zdefiniowanie i wykazanie konieczności pewnych pojęć, obowiązujących wszystkie odłamy Sztuki, sformułowanie absolutnie prawdziwych twierdzeń które muszą być podstawą każdej Estetyki. Do pojęć takich należy n. p. pojęcie formy, którego znaczenie dotąd nie było dostatecznie określone. Zaznaczyć należy, że teorya taka, w ogólności swej, nie narzucałaby żadnych pęt na twórczość, ale nie mogłaby również dostarczyć żadnych kryteryów dla oceny dzieł poszczególnych, która pozostanie, jak była dotąd, zupełnie subjektywną. Powtarzam, że teo-

rya moja nie jest propagowaniem bezsensu jako takiego, tylko próbą ujęcia zagadnień Formy w uniezależnieniu od pojęć sensu logicznego i życiowego i ma pomódz ludziom, nie rozumiejącym Sztuki, do istotnego zrozumienia tego, że sens formalny w znaczeniu artystycznem, od poprzednich niezależny jest istotą każdego dzieła artystycznego. Futuryści mimo, że tworzą czasem dzieła świetne, wbrew własnej ich teoryi, jak przystało na prawdziwych twórców, stoją na tem właśnie stanowisku, które mnie usiłują wmówić ci, którzy lenią się, nie chcą, lub nie mogą zrozumieć mojej teoryi. Im chodzi właśnie o to odwrócenie realizmu, przyczem stoją na stanowisku rzeczywistości, tylko jakby ze znakiem minus. Nie dość na tem: starają się sfuturyzować życie społeczne. W jaki sposób ma to nastąpić jest dla mnie głęboką tajemnicą.

Życie ulega nieubłaganym przemianom na tle społecznego rozwoju, który musi z czasem doprowadzić do zupełnej mechanizacyi i do zaniku wszelkiej indywidualnej twórczości. A to dlatego, że rozwój społeczny postępuje na niekorzyść uczuć metafizycznych, będących źródłem wszelkiej Sztuki. Moich pesymistycznych poglądów na temat przyszłości Sztuki, rozwiniętych w IV-ej części książki o nowych formach w malarstwie, nikt jeszcze poważnie nie odparł. Natomiast posądzono mnie o propagowanie upadku Sztuki. Jest to oczywisty nonsens. Do poglądu tego doszedłem jakby wbrew woli i wdzięczny byłbym każdemu, któryby mi jego niesłuszność udowodnił. Przypuszczam, że nie zrobią tego futuryści, ponieważ z założenia odrzucają oni walkę pojęciową, obiecując pokazać nowe metody walki, które okazują się zwykłym, ordynarnym co do formy paszkwilem, walką na „gazy", i to domowej fabrykacyi.

Na podstawie dotychczasowych przejawów małe mam do tych nowych metod zaufanie, ceniąc w dowodzeniu dawną, dobrą dyalektykę. Zabójczy wpływ filozofji Bergsona na umysłowość współczesną daje się zauważyć i na idedogji futuryzmu. Twierdzę, że na ile je znam, metody futuryzmu podkopują powagę nowej sztuki i odwracają od niej tych nielicznych, którzy, przy istotnem jej zrozumieniu, mogliby znaleść w niej nieznane źródła zadowolenia wyższego rzędu. Jestem zdania, że artyści powinni zajmować się tylko tworzeniem dzieł sztuki i w miarę możności ogólną jej teoryą, a nie przekonywać publiczność przy pomocy ekscentrycznych awantur, hałasu i harmideru, co nazywa się sugestyą bezpośrednią. Zaznaczam, że jestem wielkim przeciwnikiem nowej futurystycznej, barbarzyńskiej pisowni, pod względem dźwiękowym niesłychanie zubożającej nasz język. Należy ze smutkiem zaznaczyć, że nawet powagi filologiczne nie ustępują w tym wypadku futurystom, jak to miało miejsce z literami (y) i (e), które to ostatnie wyrzucone zostało z niektórych słów na korzyść ypsylonu, przyczem ucierpiały na tem arcydzieła tej miary, co wiersze Słowackiego. Na domiar złego futuryści są niekonsekwentni. Na ich własnym afiszu słowa: „pochód" i „futurystów" pisane są przez **d** i **w** na końcu.

Poważniejszy zarzut, który przedewszystkiem futurystom można zrobić, i to specyalnie w dziedzinie teatru, jest ten, że nie dążą do tworzenia wielkich i bardziej skondenzowanych konstrukcyi, zadowolniając się często utworami o małych i niedociągniętych formach. Nie uważam zupełnie żeby drobne prztyczki, niektóre pierwszorzędnej jakości, chociaż nie pozbawione czysto zewnętrznej efektowności, czyli mała Forma, miała obowiązywać koniecznie Sztukę wyzwoloną z więzów naturalizmu i psychologicznej prawdy. Jest w całej współczesnej twórczości pewien krótki oddech, astmatyczność i zadawalnianie się bardzo skromnemi wynikami formalnemi, przy chęci wywołania maximum powierzchownego efektu, co na tle nienasycenia formą i szybkiego blazowania się może przyspieszyć proces upadku Sztuki, który przewiduję. Do nieistotnych zdobyczy futuryzmu zaliczam również wszelkie krzyżyki, rączki, kółeczka i okienka, umieszczane nieraz wśród doskonałych wierszy, jakoteż pisanie w poprzek i do góry nogami. O ile znaki pomagają czytającemu do formalnego zrozumienia utworu — jest to bardzo dobre. Ale w większej części wypadków robi to więcej wrażenie chęci epatowania, niż dania wskazówki deklamującemu, lub czytającemu, co przy istotnej wartości formalnej utworów tembardziej razi i irytuje. Powtarzam raz jeszcze: uwolnienie się Sztuki z pod kategoryi logicznego i życiowego sensu, roztwiera nowe, nieznane horyzonty dla kompozycyi, czyli

Czystej Formy. Ale musi to czynić naprawdę. O ile bezsens nie będzie dawał niczego w wymiarach formalnych, o ile będzie bezsensem dla bezsensu, czyli bezsensem realistycznym, będzie to złośliwy nowotwór na ciele Sztuki, nie lepszy niczem od realizmu i należy starać się radykalnie go usunąć póki nie przerzuci się na dalsze pokolenia artystów.

Wstręt futurystów do filozoficznego uzasadnienia Sztuki i ich teorja roztopienia się indywiduum w tłumie, wynika zdaje się z chęci kokietowania szerokich mass, nieskłonnych w obecnych czasach do ruchów metafizycznych na szerszą skalę. Najbardziej indywidualistyczny artysta może mieć zupełnie skrajne poglądy społeczne i może to wcale z jego indywidualizmem artystycznym nie dywergoaować. Ale artysta, który obejmuje sztukę, czyn par excellence indywidualny, swojemi skrajnemi społecznemi poglądami i czyni z niej ich sługę, dowodzi, że zatraca prawdziwy instykt artystyczny, który z natury rzeczy musi być arystokratyczny. Artyście takiemu grozi artystyczny kompromis. Dlatego to nie bardzo wierzę, aby futuryści polscy zdołali połączyć prawdziwą twórczość z ich teorjami i jedno z dwojga: albo ich talenty i indywidualności okażą się silniejsze od ich teorji, albo też będą musiały zmarnieć, w ciągłym kompromisie, w ciąganiu artystycznej twórczości po rynsztokach taniej reklamy, lub używania jej dla niezupełnie jasnej „futuryzacyi życia". Oczywiście życzę im wypadku pierwszego. Najmniej zdają się grozić niebezpieczeństwa te Aleksandrowi Watowi, o ile nie da się unieść po linji „namopaników", zimnego wymyślania językowych dziwotworów, tylko pójdzie w kierunku wyznaczonym przez wyżej wymienioną jego pracę, coby może zaprowadziło go do stworzenia nowej formy dramatycznej.

1921—1922.

Stanisław Ignacy Witkiewicz

BUNT SŁOŃCA

Może w tem mieście jeszcze u zbiegu trzech alej,
w narożnej kamienicy, jak pod szyldem sklepu,
przystanie utrudzone z nieulękłym żalem —
w pogoni za chmurami i bezmiarem stepów.

Może z dalekiej drogi po niebieskim szlaku,
w tym domu, jak w hotelu odpocznie przez tydzień —
na warzywnym straganie lub wśród sterty pakuł,
zdala od marzeń gwiezdnych i słonecznych widzeń.

Wreszcie nawprost parkanu i po szczeblach drabin —
na piętrze, które bezkres wessał bezpowrotnie,
w towarzystwie przygodnem kasztanów i grabi
rozgwieździ mrok podwórza mnożną ustokrotnień.

Wbrew nocom zatraconym i wszystkim południom
bryzgać będzie jasnością od piwnic do strychu,
i niewiedzieć dlaczego, jak żóraw nad studnią
pochyli się nad sobą — ze starego sztychu.

A jeśli obok domu — w warsztacie blacharza,
zabraknie może rynien, rdzą zżartych napozór,
pierwszym oknem wyfrunie, jak królewski bażant,
i wsiądzie do tramwaju lub miejskiego wozu.

I pozostanie tylko, ta jedna świadomość,
którą będą obnosić po niektórych maglach,
że w równaniach słonecznych z jedną niewiadomą —
minęło siedm poranków, jak cienie od żagla.

Edward Kozikowski

Z TOWARZYSZKĄ ŚMIERCIĄ

Na dalekich wędrówkach, jak z wyrwanej karty,
wbrew pozorom i sobie, mijając dwa dni,
spotkałem ją opodal — o pierwszej i czwartej —
za tym węgłem, gdzie słońce, jak latarnia lśni.

I sam nie wiem dlaczego — w spojrzeniu ku sobie —
zagarnąłem to obce i tamto, jak cień,
a może, by uśmiechem spotykanych kobiet
do bezmiaru wieczności podnieść jeden dzień?

Wszak nie poto w wysiłku dźwignąłem, jak kamień
całą wagę bezkresu na rozstaje dróg —
przy barjerze tęsknoty lub okiennej ramie,
by nocą grozić wichrom, jak napięty łuk.

I odtąd — z towarzyszką, to z prawej, to z lewej,
zależnie od perspektyw i porannych mgieł,
zdobywam ją dla siebie — bez łez i bez przewin —
naprzekór przykazaniom uwieńczonych dzieł.

Błogosławiąc godzinie, której miejski zegar
nie wskazywał nikomu w labiryncie lat,
wiem ile cenić szczęście, którem w kości przegrał —
w szeregu wymazanych z kalendarza dat.

Wbrew ciżbie ludzkich spojrzeń — z za węgieł kamienic,
zapatrzony, w tę linię kościołów i wież,
wiodę cień towarzyszki — od sieni do sieni,
jak zwęgloną na wietrze pochodnię i wszerz.

Edward Kozikowski

BALLADA O POWSINODZE BESKIDZKIM KUTERNODZE DRUCIARZU, O DUSZKACH GARCZYCH I LIPOWYM KWIECIU

— zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata —

— zieleni się lipa
szumi pszczelna praca —
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —

— zieleni się lipa
latosią potrzebą —
korzeniem wrosła w ziemię
a koroną w niebo —

— przyseł haw
ze spiża z oraw —
wędrujący za grosiwem
za żywiołem, przyodziewem
sobkiem społem
jak ta trafi
po gromadzie i parafi
druciarz:
— — garki druuutować —
— — blaaaszane naprawiać —
garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szczerby, czupki, brzucha, ucha —
szyje, denka i pokrywy —
cały sprzęt po nocy żywy —
— kto nie wierzy — niechaj słucha —
......gdy północka zbudzi dziwy —
rada w radę rży gromada —
gada, bada, odpowiada —
wras się z półek, z nalep skrada
i beznogą sunie drogą
dudni, brzęczy, dźwięczy, chrzęści
coraz żwawiej, chutniej, gęściej — —
— na kuchennem na klepisku
kręcą się i tańczą w ścisku —
podskakują, dęba stają
całują się obłapiają —

garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szyje, czupki, brzucha, ucha —
uha — uha —
garnek w garnek wali z ucha —
dudni, dźwięczy, gwarzy, dudni
raz na studni, raz z pod studni —
coraz warciej, coraz ludniej
garczej, dzbanniej, kotlej, brzuszej —
aż koguta głos zagłuszy
i hałastra znów na półki
gromadzi się, podskakuje —
kaszle, chrypi, pobrzękuje —
z pod niecułki
patrzy martwo —
jakby nigdy nic — —
jeno żywsze wzbrzuszeń szkliwo
zdradza ono nocne dziwo — —
— — jeno lipa płatki pruszy
na sen-marę garczej duszy —
— garki druuutować —
— blaaaszane naprawiać —
pobić, sklepać, pomajstrować,
podrutować, zreperować,
dziury blachą ponadstawiać — —
— niema garków —
— panbóg prować —
— coś mamroce, klnie i biada —
— idź druciarzu do sąsiada —
— zebrali z pod okapu
zebrali z polepy
łapu capu
garki i czerepy —
—
poustawiał toto wkoło
czoło utarł łatną połą —
wieńce drutów wyjon z torby,
szczypce, cęgi, młotki, korby,
drut prostuje, kręci, zmierza,
wkoło brzucha wcwał obieża,
supli, węźli, naklepuje —

majster walny — haj — drutuje,
garkiem zwinnie obertuje,
snuje, kuje, przydreptuje —
jak do tańca, jak do tańca —
ode denka aż do krańca —
snuje, kuje, przydreptuje,
przymlaskuje, przymrużuje
tą zdrową powieką — —
— będzie — będzie gar na mleko
na mleko
na ziemniaki, kapuste
na rosoły na tłuste —
a już się widziało
— jak go stłukły dzieci —
że trzeba nim już smyrgnąć
na oborę w śmieci —
aż tu przyszedł ozdrowieniec
wyjon z torby drutu wieniec —
pomajstrował, odrutował,
w kwadre pieknie sprzymierzował
ucho zgrabnie przylutował
majster-pipka — majster boski
umniejszył nam dzisiok troski —
nie było do czego doić
i wieczerzy w czem nastroić —
odjon przekleństw sto i kar
grzech odchybnął precz od duszy
chłop nie psiekrwi nie psiojuszy
bo już jest na mleko gar
zdrutowany jak sie patrzy —
—
druciorz takici odmieniec —
skończył — zwieńczył drutu wieniec —
złożył nabożnie do torby
świdry, młotki, cęgi, korby — —
— — zieleni się lipa
ptak nad nię przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoła świata —
—
coś się tam śnim targowali —
wreszcie przystał — grosze wzion
kubek mleka, chleba glon —
— poszedł dalej — —
— — zieleni się lipa
szumi pszczelna praca
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —

—
— — garki druuutować —
— — blaaaszane naprawiać —
—
przyjdźże boży druciarzu
przyjdź raz jeden do mnie —
coś ci mom na wyzdrade
potrza cie ogromnie —
— lankur mi legł na wnątrzu
po kucy się wierce
drutujesz bracie garki
podrutuj mi serce — —
— — lipa kwiatem wgłos się śmieje
na miłoście na nadzieje —
—
zanim druciarz przyszedł na zwołania
obszedł kuśdykując trzy stajania —
swoim zwykiem — duchowym porządkiem
przylgnął kapke pod lipą pod świątkiem —
ej nie kapke — — bo umarł dziadyga —
któżta wie moiściewy kto jest pierwszy z brzyga —
—
odszedł druciarz-kuternoga
czupek cielska ostawując
zgarbionego, kulawego,
wychudłego, zgarczonego —
—
odszedł druciarz kuternoga — —
— — zieleni się lipa
latosią potrzebą —
korzeniem wrosła w ziemię
a koroną w niebo —
—
za piecem u Panaboga
— tam — majstruje — naklepuje —
reperuje i drutuje
i drutuje
słonecznemi promieniami
w kwadre pieknie przymierzuje
łaty ćwieczy wkrąg gwiazdami —
świątkom garnki wciąz drutuje —
powsinoga beskidzki kamratowy gość
ma słonecznych drutów, gwiezdnych ćwieków dość
—
święci garnków nie lepią — —
— — jeno lipa płatki pruszy
na sen-marę garczej duszy —

Emil Zegadłowicz



Wacław Wąsowicz *Madonna*

O NADDZIOBANYM PRZEZ KURY KSIĘŻYCU

Na ciemieniu Świętokrzyskich gór
zbudowałem podsłoneczny dwór;
zbudowałem niebosiężny gród
strzelistością niebotycznych wież
sięgający do niebieskich wrót,
zagubiony wśród gwiaździstych ścież.

Zbudowałem podsłoneczny gród.

Rwącym falom rozpętanych wód
cyklopowe grodziłem zagrody,
by nie zniosły moich zbawczych złud.

Bym kwitł wiecznie słoneczny i młody
na najwyższej z Świętokrzyskich gór
zbudowałem księżycowy dwór.

I sprosiłem kaszalotów wian
na biesiadę w podsłonecznym grodzie;
wieloryby jak pstrągi po wodzie
wodospadem skakały śród pian
w fiżbinowych swych zębów urodzie.

I nie dziwił nikogo wielorybi zlot,
ni kurników mych grzędy strzeliste,
gdzie na straży kogutów słodko drzemał kot,
kury gwiazdy dziobały jak glisty.

Na najwyższej z herbowych mego zamku wiech
skradziony organiście uwiązałem miech
i w wygasłe kratery księżyca,
budząc je ze snu — póki stało tchu,
dąłem pełnią nadętego lica.

A jeżeli nie wierzysz w mój słoneczny dwór,
czytelniku ze wszech miar ostrożny,
kiedy wątpisz w ambicje gwiezdne moich kur
i w ich obrok bezbożny —
spojrzyj nocą w księżyca naddziobaną tarcz
i warcz:

wrr — wrr...

Jan Nepomucen Miller



L. Misky. *Szkic.*



KRYTYKI, REFLEKSJE, RZUTY

ARCHITEKTURA

Rozbrajająca naiwność i bezpretensjonalność naszych krytyczków zawodowych — nakazała im (oczywiście!) zamilczeć (z małemi wyjątkami) o kapitalnem wydawnictwie, które meteorycznie krótko zalśniło i błysło na półkach księgarskich. *„Architektura polska szkice kompozycyjne"* **Stanisława Noakowskiego.** Jedno z najbardziej ważkich dzieł, jakie Europie dzisiaj rzucono na stół.

Ważkich — nie gwoli szatek zewnętrznych, które są z prawego materjału, nie gwoli doskonałości plansz reprodukcyjnych — lecz gwoli właśnie głębokiej i osobliwej treści, jaka przewija się litą, złotą promienistością poprzez zjawy wyobrażeniowe kompozycji architektonicznych — lecz gwoli wielkiej Poezji, która spłomienia i zbłękitnia niebo radośnie podane przedsięwzięciu kochającego serca człowieczego.

Przemożne symfonje! Gotyckie akordy! Mowa to — ducha szlachetnego — o wizjach zjawionych skroś dnia powszedniego i skroś dnia świątecznego — tłumnem wywieszeniem dywanów i kilimów szpetnie zadokumentowanego. — Mowa to — poety, marzyciela — o miastach odkrytych w zatopionej Atlantydzie, o wsiach, gdzie tak, jak pszenica i żyto, wierzby i olchy — rosną konieczne i jedyne dwory i dworki, chaty, kościoły, kapliczki i krzyże przydrożne. — Mowa to — już nie o równorzędności realizmu zjawisk zewnętrznych z zjawiskami wyobrażeniowemi — o czem jeszcze głucho, ciemno ach! i tak nielaurowo w Świadomości ludzkiej — lecz mowa to — o spraw wypracowanych w Duchu r e a l i z m i e p r z e w y ż s z a j ą c y m o całą nieskończoność i wieczność, nazbyt doczesne fakty materjalistycznego istnienia.

Szkice Noakowskiego! — jawnem jest, że są to pełne wyrazy Tęsknot za Pięknem i Dobrem w architektonicznej formie; idea; utopja; kalokagatja. — Przed wzrokiem naszym jednem czarownej różdżki uderzeniem (— tu tajemnica TALENTU —) zmienia się oblicze miast (— jakże spaczone w grymas ironji, jakże zapuchnięte wiecznem zapaleniem okostnej —) i wsi — ; przepada raz na zawsze potworna brzydota blichtru i szychu, znika nieuzadniony przepych i biedota bezkonstruktywności — cała ta secesja na Górę Obłędu —, a rodzi się, — jak ona Afrodis z pian morskich, świeża i wonna, cudna w kształtów swych doskonałości, tajemnicza omglonym poczęcia momentem — w blasku słońca i w poświacie księżyca, światło chłonący i cień rzucający bajecznie osobliwy Świat Doskonałych Budowli; — doskonałych zaś nie przeto, że w nich w skupieniu zbożnem modlić się można, że w nich wygodnie byłoby zamieszkać, że recepcjom, festom narodowym i familijnym (— kurdesz, kurdesz nad kurdeszami —), że zaciszom rodzinnych wywczasów, alkowom małżeńskim, ogrzanym zasobnym ogniem rozważnych kominopieców, gdzie na rozległych łożach. w sutej asyście poduch i pierzyn, poczyna się zdrowo i rodzi zdrowo zdrowych potomków, że pracowniom jasnym, których okna patrzą w gwiazdy wprost — dano tu wyraz ostateczny i jedyny — lecz przeto, że w koncepcjach tych i pomyśleniach tkwi pierwiastek e t y c z n y; oto wytwarza się współżycie i sprawiedliwa wymienność dobra duchowego między mieszkańcem a izbą, między właścicielem a domem, między dziedzicem a dworem, między chałupą a chłopem, między bogomodlcą a tumem, kościołem, kryptą, kaplicą —; harmonja wklęta w otoczenie bezpośrednie człowieka — syci jednolitością kojącą i przyjazną — otrzymuje w zamian bezinteresowną miłość. Oto podkreślenie znamienne przezornej mądrości! —

Drogą poczętą u sklepień romańskich dworzysków i klasztorów poprzez zwidzenia gotyku, renesansu, baroku poza systema stylowe porokokowe — ze swobodą, wnękliwem znawstwem — chciałoby się rzec — od niechcenia — idzie Noakowski najbystrzej z bystrych wkoło patrzący i — *pamiętający.*

Przyhołubia się dotykalny — aż sen o pozahistorycznem (w misji) trwaniu wszystkiego: zewnętrza i wnętrza.

A droga to, a sen — trzeba to w tej chwili rzec — słowiańska, arcypolska. — Style! — niby: romańskie, gotyckie, renesansowe czy jakiekolwiek — aliści jeden szczegół, jedno konieczne zauważenie — a polskość jawna, szczera, mocna uderza do głowy jak stare wino. Kochanowski (Ronsard, Klasycyzm, Dawid), Zabłocki (Francja), Trembecki (encyklopedyści, liberalizm, racjonalizm i manjery francuskie), Słowacki (Szekspir, Arjost i i.) Fredro (komedja francuska), Noakowski (ta stylów pierwotna niepolskość i jakby międzynarodowość raczej) — to ciała z jednej gliny, duchy z jednej melodji — osobliwie rasowe do szpiku kości — po ten wyostrzony jak szpada przed potyczką któryś tam z rzędu zmysł narodowego czucia, które jednak i pomimo wszystko jedyną daje krzepkość i jedynie ważkim zespala się współdźwiękiem z melodją olbrzymiej wędrówki człowieczeństwa zmierzającego z wieczności w wieczność.

Tak więc architektura Noakowskiego żywą jest i zaludnioną w samem poczęciu; a jak ona wysokiego typu twórczości jest emanacją, tak i człowiek śród niej przebywający wysokiej jest próby; bo i nie miejsce tu — w tem dostojeństwie — na kapitalistów, paskarzy, kamieniczników, nabożnisiów, obłudników, ludzi małych do wielkich interesów; zda się, jakoby na każdej planszy napis szyfrowany był ten: „hołocie wstęp wzbroniony".

Dlatego też czekać trza będzie na dotykalne zrealizowanie pomysłów poety-architekta tak długo, aż nowy, odrodzony człowiek w świadomym objawi się kształcie.

Wizja Noakowskiego sięga poprzez tysiąclecia — w dalekie tysiąclecia.

Zginąć musi człowiek dzisiejszy (z wczorajsza), a zrodzić się ten, który na równi z chlebem codziennym żywić się

będzie Poezją — i bez niej jak bez chleba obyć się nie będzie mógł; czas i siła fatalna przemieni zjadaczów chleba w aniołów; wierzmy! wierzmy!! Wtedy — on, człowiek czysty — godnie radości swe i smutki wymodli w kościołach takich, jakie śni wzniosły sen Poety —

wtedy — zrozumie, że tylko w takich a nie innych nawach wysłuchana będzie prośba: „od ognia, wojny i powietrza" —; a żadne sklepienia tak nie oddźwięknią majestatowi hymnu: „Przed tak Wielkim Sakramentem" — jak te w kształt serca budowane; a żadne organy nie wygrają „Veni Creator" z tak wichrzaną mocą, mierzwiącą morza do dna, kładnącą w pokosie świętym puszcze odwieczne, zdmuchającą wywieiska z wiecznie białych pól śnieżycowych na obu biegunach — wzwyż — hen — po mandorlę zorzy borealnej — jako te właśnie zastygłe w akordzie w kryptach pobrzmiewającym: „Te Deum" „Sursum Corda" —

wtedy zrozumie — że nijakby mieszkać nie mógł w innych miastach, jako tych właśnie, które mu ten pan burmistrz Noakowski, burmistrz i architekt z dyplomem urbi et orbi — zbudował ku otusze, ku pogodzie, ku ducha rekreacji —

wtedy zrozumie, że nigdzie indziej, jeno właśnie śród takich ulic, zaułków czarownych, bramisk i murzysk — przechadzaćby się mógł i dyszkur pogodny wieść o nieśmiertelności duszy — (— wyobraźcie sobie dzisiejszego kupca, palestranta, higjenistę, recenzenta et tutti quanti rozmawiającego o — nieśmiertelności duszy! — lecz tak kiedyś będzie!! —)

Dla przyszłego człowieka buduje Noakowski; dla dzisiejszego niechaj starczy tusz, sepja i inkaust — którym zwierzył swe wizje i marzenia; dla dzisiejszego dość! — i tak więcej nie pojmie ponad: „jakże to alla prima kropnięte! jak śmiało! co za technika — fju, fju!" Zanim się jednak ono Odrodzenie (z Ducha, nie z „Starożytności" —) stanie — już on tam wtedy, ten pan Stanisław Noakowski „bywszy" profesor politechniki — w niebie zabudowanem ideami królować będzie chwalebnie i pocześnie; a w obłoki — te same, które najgrubszy z świętych, pan Jan Stanisławski malował — suto odziany — siedział sobie będzie na rusztowaniu zbitem z bierwion tęczowych — i przewodził robotami i kierował budowaniem zamków i pałaców, które mu Bóg dobrotliwy — chwała Mu i cześć po wszystkie wieki — poufnem rozporządzeniem Rady Obrony Sztuki (R. O. S.) — stawiać kazał dla wszystkich Poetów Świata —

Zasługujmy się przeto bracia! Pilnie się zasługujmy! — Za każdy zły (niekonieczny) wiersz będziemy ukarani mieszkaniem w którymś z pensjonatów warszawskich przez tysiąc lat (i więcej); lecz każdy dobry (konieczny) przysporzy nam izdebkę projektowaną przez doktora wszechwiedzy architektonicznej: — zasługujmy się przeto bracia! — duża nagroda nas czeka!

Przeraża mnie jeno myśl o ogonku czekających Poetów; tylu ich przecie było — a ile będzie — strach! — lecz Noakowski prędko to załatwi (— zważcie ile podziśdzień już ma szkiców w tece — to nie przelewki!); zresztą do robót przydzieleni mu będą wszyscy ci, którzy brzydocie i głupocie za życia hołdowali, a to znaczy — miljard miljardów.

— z —

MALARSTWO

JAK BABA DJABŁA WYONACYŁA — wyonacyła do imentu! Wyonacyła djabła szalbierstwa, blagi, rozpanoszonego nieuctwa, głupkowatości, zgraji „rycerzy przemysłu" przemyślnie przemycającej bzdurstwa z pierwszej, drugiej i studwudziestej ręki — wyonacyła mocą talentu burzącego i budującego odnowa i coraz lepiej — Zofja Stryjeńska. Rzeczą już jest nazbyt znaną co i jak potrafi ta malarka z łaski ducha, serca, pracy, rzetelności. Dzieła jej są (rzekomo) wypadkową wszelkich prądów, wszelkich „szkół" — mówią o umiejętności wszechogarniającej — mówią o drodze idącej z prymitywizmu odruchowych odczuwań — ku prymitywowi wywoływania sugestji najistotniejszemi pierwiastkami. Wszystko tu jest potrzebne, jedyne, nieodmienne, nieodzowne. Wizja wypracowana do ostatka; a wizji nadmiar; pracowita ręka ledwo daje sobie z tem rady. Cykl dogania cykl — a wszystkie w orbicie płomienności żywej, słonecznej. Efekt pozostał za drzwiami. Prawda jest przekonywująca.

Lubańska - Stryjeńska — niewiasta szczęśliwa — nad którą rozbiła się „bania poezji" - malarstwa — idzie tak osobliwie własną drogą (dosyć tych żględzeń o wpływach!!), takie odkrywa światy nowe, które jeszcze wczoraj figurowały na mapach pod napisem *hic habitant leones*, tak przemożną indywidualnością opanowała kęs spory wszechświata, że napróżno dziś szukalibyśmy niewiasty dalej i głębiej *widzącej* w ciągu wieków i krajów wielu.

I czy to będą freski, czy bajeczny cykl pasyjny i sakramentowy, czy ilustracje tetmajerowskiej pomowy, czy ruchliwe kapricja monachomachji — zawsze i wszędzie znajdziesz — akord mocny i krzepki, zasłyszany i zawidziany w melodji sfer planetowych. Zodjak ożywa; człowiek żyje, — jak Pan Twardowski *godzinkami* zbawion jest; przedmiot potrzebę swą stwierdza.

Aż wreszcie ŁOWY ŚWIATOWIDA — dzieło — które już jest dokonanym cudem. Skroś wszelkich nazbyt łatwo dostrzegalnych usterek (uciecha dla krytyczków!) — bez obawy przesady rzec trzeba: największym majstrom nieliczną jeno ilość razy nadarzyła się ona boża możność stworzenia harmonji tak sugestywnej, że to już nie zaranie zachwytu a południe samo oczy żarem naświetla. Klechda to niepowszednia w której stokroć żyje każda chwila — i na wieki! prześwietlenie zjawiskowe; czarodziejska materjalizacja; słowiański Olimp czy Walhalla; jakoby widzenie istotne czegoś co się prawdziwie działo, a o czem wiedzą łanie, wiewiórki, ogary, dęby, smreki i łąki kwiaciate —; wykraw opowieści uponiszadowej; sen ostatniego stróża Znicza; podpatrzona tajemnica swastyki, wiecznie tworzącego ruchu, słońca, życia — tego i tego TAM — zjarzonego na ostatnim widnokręgu kędy — poza Scyllą i Charybdą realności, której żaden sprytny Odysseusz nie ominie jeno duch skrzydłami czynny — zbiera się sejm walny snów, marzeń i tęsknot za JAWĄ. Jeszcze jeden krok — a dokona się w oczach naszych Przemienienie Pańskie — z talentu wyłoni się CZŁOWIEK EPOKI.

— z —

POEZJA

U POETÓW — Miriam; przekłady z poezji francuskiej, belgijskiej i włoskiej XIX. wieku. Warszawa, Wydawnictwo J. Mortkowicza. 1921.

Spory tom (334 str.) najrzetelniejszą pracą wypełniony; pierwszorzędny majster wiersza, znawca wytrawny i wytworny, nieulękły i niezmordowany (bo wierzący!), odwalacz głazów zaśniedziałych zpred jam jaskiniowców „takie nasze" — „takie polskie" — zebrał dorobek lat wielu, lat walki, pertraktacji, zwycięstw i wywczasów pobitewnych —; „bez zamierzeń antologicznych powstawały przekłady te, były one raczej owocem robinsonowskich błąkań się po wielkiej — do zdumienia! — niwie poezji europejskiej 19-go wieku, bez zbytniego zawierzania błędnym tak często (zwłaszcza co do współczesności) mapom i planom historyczno-literackim" — a dalej — „gdyby nie względy wydawnicze, niezależne ode mnie, rad usunąłbym w książce nazwisko swoje i nazwisko tłómaczonych poetów, aby pozostała rzecz sama: „poezja".

Przesmycki jest wielkim poetą (Miriamie! wybacz mi!) — przekłady jego żyją samoistnem życiem; na tej wyżynie tłómaczenia są twórczością osobistą w sobie samej mającą cel finalny. — Obok Porębowicza, Wyrzykowskiego, Staffa, Boy'a — należy Miriam do nielicznej grupy poetów OD — idącej drogami najszczerszej i najszerszej wnękliwości i samowiednej senzacji natchnionej Piotra Kochanowskiego, Andrzeja Morstina, Chrościńskiego, Mickiewicza (Giaur), Słowackiego (Książe Niezłomny);

Do arcydzieł „U poetów" należą przekłady z A. de Vigny „Mojżesz", z T. de Banville „Skok z trampoliny", z A. Giraud „Upojenie księżycowe", „Skrzypce księżycowe", z A. Rimbaud „Statek pijany" — zresztą co tu wybierać! wyliczając to czy tamto idzie się raczej za upodobaniem osobistem.

Jest „U Poetów" pośród poezji wzniosłych, ciekawych, charakterystycznych, miłych, dźwięcznych i jakich tam jeszcze przedziwny poemat prozą Artura Rimbaud'a p. t. „Demokracja" brzmi on w całości (zwraca się uwagę, że wszystkie zdania są ujęte w cudzysłów):

„Sztandar prowadzi do plugawego krajobrazu, a gwara nasza zagłusza łoskot bębnów.

„W ogniskach utrzymywać będziem najcyniczniejszą prostytucyę. Program spotka wszystkie bunty logiczne.

„Do krajów zarażonych weneryą i odhartowanych! — w służbę najpotworniejszych wyzysków kupieckich lub wojennych.

„Do widzenia tutaj, gdziebądź. Rekruci dobrowolni, będziemy mieli krwawą filozofię; ciemni pod względem wiedzy, przebiegli co do wygód; zdychanie dla świata, który idzie. Oto prawdziwy pochód.

Naprzód, z drogi!"

(Tempora mutantur — nieprawdaż?)

— z —

ARABESKI E. A. POE'A w przekładzie znakomitym St. Wyrzykowskiego ukazały się na półkach księgarskich; przyjemność omówienia polskiego wydania dzieł Poe'a zostawiamy sobie do drugiego zeszytu „Czartaka". Zaznaczamy jeno, że społeczeństwo nasze poraz pierwszy (dzięki przekładowi współdźwięcznemu, pieczołowitemu — do ostatka —) ma możność zapoznania się rzetelnego z niesamowitą, dogłębną trwogą tchnącą poezją wszechludzkiego amerykanina.

— z —

SZUMIĄCA MUSZLA. *Leopold Staff; Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska", Warszawa 1921 r.*

Leopold Staff zajmuje piękną kartę w dziejach literatury polskiej.

„Sny o potędze" były zapowiedzią bujniejszego talentu. Inna rzecz, że tą zapowiedzią do dziś dnia pozostały.

Z atmosfery orzeźwiającego ozonu gór cofnął się przezornie poeta w niziny rozpamiętywań i refleksji — wspomnień o czynach, których nie było. Byle nie kapitulować!

„Szumiąca muszla" jest dwudziestym pierwszym tomem poezji i dramatów Leopolda Staffa.

Do kategorji wierszy udatnych zaliczyć trzeba: „Zmierzch", „Piosnkę", „Północ", do rozbrajających: „Serce", do mile brzmiących: „Pejzaż", „Dnie coraz krótsze", „Lubię u schyłku dnia". nikły wpływ nowoczesności uwydatnia się w „Czytelnikach" i w „Chłodno i pusto".

Na stu kilkudziesięciu stronicach w szarzyźnie rymu — jeden jedyny rym z zakresu wpływów współczesności: „mleczu" — wieczór" (str. 131).

Jakże daleka wstecz droga prowadzi — od „Kowala" i „Krysty z pod płota" do ostatnich kart „Szumiącej muszli".

— k —

WIANO — Jerzy Hulewicz; nakład „Zdroju".

Udramatyzowaną baśnią nazwał tę książkę autor — uparty ze wszech miar czcigodny eksperymentator nowej formy dramatu.

Indywidualność Hulewicza zarysowuje się już dzisiaj jasno i wyraziście; impresjonizm, neoimpresjonizm, ekspresjonizm, teozofia, egzegeza ewangeliczna — oto etapy słowne, powierzchowne, niezasadnicze; zasadą bowiem będzie: mozolne, twarde, bożosłużbne poszukiwanie świętych dróg i sfer duchowych emanacji. Hulewicz mistyk, Hulewicz ewangelista, Hulewicz buddysta — i cóż z tego? — Hulewicz *jest* poetą (jeno bez ciasnoty tego pojęcia!); przeczytajcie „Wiano" a przekonacie się o tem; jest poetą mimo balastu biblijnych konwencjonalizmów, mimo twardzizn językowych; kto tak opornie wyłamuje się przez *dźwięk* ten doprawdy musi uwierzyć, że materjalizm jest himalajską zaporą (zresztą jest nią zawsze i wszędzie!). — „Wiano" nie jest najtypowszem dziełem Hulewicza (tak jak niem jest i „Kain" i „Śluby ziemi" i „Bolesław Śmiczła" i „Samskara"); „Wiano" to raczej kołysanka Sulamitki, która już przeczytała i miejscami umie na pamięć „Pieśń nad pieśniami" i przeto jest tak dostojna i hieratyczna. Człowiek strasznie poważny zaszeptał cicho, cichuteńko — jak mały Jurek młodszej siostrzyczce, lecz duży Jerzy wie, że mały Jurek wiedział dziwnych rzeczy wiele.

— z —

LACRIMAE RERUM — Jan Nepomucen Miller. Twarda, zjadliwa, podstępna indywidualność; podstępna dla siebie, zjadliwa dla krytyków, twarda dla wszystkich; przytomność wytężona, ogarniająca, stuoka..

Przewiewają się dymy ze stosu — najczcigodniejszego bohatera; Achilles

z życia wchodzi w legendę, dytyramb rozbija się w głosy — pogłosy wracające z borów, zalesi i młak. Jeszcze Heroon, jeszcze Nitokrys i to i tamto — aż wreszcie:

„polatały nad wisłą dwa srebrne łabędzie"

a:

„w Krakowie na ulicy
na ulicy
tańcowali galernicy..."

Wchodzimy na Wielką Drogę dostojnych przemian. Otwiera się widnokrąg Nowego Zakonu; Wniebowzięcie:

„Rozwarła się czeluść grobowa!
Sto archanielskich wrzasło trąb!
Stugębnem echem ziemi zagrzmiał zrąb,
po niebios strop!
Zamarły słowa!
Wszystko i nic! bezmiarów ton!...
Ogień! Płomień! Ziąb!
!!!
Tchu! tchu-u-U-u-o-o-O-o-o-a-a-a-A-a-a-a" —

Zamarły słowa! — Pod parciem zwyciężającego ducha wywalają się wierzeje; odżywa świat zasłyszanych w tajnych mrokach gontyn, pod zastygłą powałą lasów — szeptów, zachwyceń, głosów i ech —

Twórczość Millera idzie ku realnej prawdzie siejby, pracy, czynu —

Lacrimae rerum stwierdzają najpiękniejszy dzień poety: pokorną i zarazem dumną świadomość talentu. Dla zawilidróg poetyzujących twardy orzech do zgryzienia. Poezje Millera — to najbardziej poddawczy tom poezji ubiegłego roku. Ziszczenie niemożliwości (kres epigonizmu), okna rozwarte na wszelkie możliwości.

Hic natus est poeta!

— z —

TĘSKNOTA RAMY OKIENNEJ — Edward Kozikowski.

Sezon poetycki 1922-go roku rozpoczyna słowo: tęsknota — (zaznaczenie tego poczęcia — mimochodne; nie zadawajmy się z Symboliką — i tak już dość rozpusty na świecie!)

Książka Kozikowskiego jest świeża, młoda, jurna, zdobywcza, uległa i odporna. — Kiedyśtam jarzył się nikły płomyk świecy u stóp Giewontu — kontrast był wprost szalony. Było to jak obłąkanie, które nie może dujść do ekstazy szału; ciągiem *te* przypomnienia, wciąż *te* liście spadające, *ta* wiosna, *ta* jesień, *ta* zima biała i *to* lato w które słońce zapomniało lipca — przekląć można całą poezję, a wszystkie tomy zawierszowane rzucić w ogień — do jasnej cholery! — psiakrew! —

Ale żyć trzeba!

Raczej to i tamto!

Wypracować senzacje wewnętrze, skonstruować drewnianego konia podkutego kółkami różnej wielkości (wszystko jedno!) — i tak tam jechać w bezgdzieś na rymie i bezrymie — ekspresem — tramwajem — podmiejską — — I tu źródło swawolności bezpańskiej i jakiegoś nieznanego dotychpór humoru —

„liczą oczy i palce zmartwiałe
ze zmęczenia, — bywają wypadki, —
że zabraknie na liczydłach gałek,
że nie starczy cyfr na wszystkie kratki".

albo:

„słońce pod rękę z lampą
w daleką poszło drogę:
może to, może tamto,
ale już nie odłogiem".

Świat widziany poprzez ramę okienną, a zwłaszcza poprzez ramy tej tęsknotę — jest zdecydowany na wszystko — na niebyt i byt — na bezsens i sens — a zwłaszcza, zwłaszcza na podróż wszelką — — Lecz tu już bystro patrzeć!! — sklepy, afisze, jatki, apteki, piekarnie — djabli wiedzą co (— bo to i to i tamto —), a wszystko inne w innym wymiarze, w różnych płaszczyznach, w kalejdoskopicznych nastawieniach — jak mi Bóg miły — kubizm, formizm — na własne oczy widzę!! — Więc tak! a to już nic nieznacząca fraszka, że jeden się zabłąka:

„wreszczie w długiej tułaczce po bruku,
uśmiech blady przesławszy jaskółkom,
zginąć nagle bez dzwonka i stuku
w jakimś bliżej nieznanym zaułku
— "—

a drugi:

„czasem przecie za słupem
tym ostatnim przy moście,
zaplątany w szyn supeł
mija siebie najprościej —"—

bo tam kędyś w bożej dali czai się i śmiech i ironja i ten tak dawno nie spotykany w poezji: *zachwyt*. —

Może przeczucie zachwytu? — i marzy się drapacz nieba — wieża babel lub eifel — o konstrukcji żelaznobetonowej — i winda jedyna, którą wyjechać można i trzeba ponad kominy i dachy na walne posiedzenie komet i gwiazd — — wszakże mówił ktoś, że Towarzystwo Wieczności poszukuje sekretarza z umiejętnością liczbowania na papierze konto-korentowym — Ubierajmy się szybko (— getry — getry — gdzie są getry! — żona milczy — bo to po „Rozmowie":

„kto przypuszczał z nas dwojga na ganku
i po traktach, biegnących naopak,
że w tej chwili, jak uśmiech poranku
stanie w falach ognia Europa —"

— świerszcz jeno pod kopułą zlewu zawodzi i tęskni i gra — — a z załomu ścian — z poza szafy bibljotecznej gdzie w porządku przezornym grzbiecą się książki — patrzy tęsknota, która dzisiaj jest bledsza i oczy ma większe, mroczniejsze, — przepastne — do dna —

Tak przeszła noc —

A gdy się rozległ ochrypły syren fabrycznych ryk i świst — i przeciął opary ranne wzdłuż i ugodził jak sebastjanową strzałą w serce poety — stało się obłąkaniu zadość — ruchem powolnym, podświadomym złożył niezapisaną kartę papieru — włożył do koperty — zalepił machinalnie — zaadresował myślą — i poszedł naprzeciw posłańca przepowiadając sobie w pamięci:

„— ku dali podniosę powieki, jak kamień,
i syren fabrycznych usłyszę wzdłuż świst,
i dam posłańcowi ku wieczności bramie
ten nienapisany skądinąd mój list —"

I oto począł nowy dzień ten bardzo szczery, chwil kapryśnością kapryśny, nieprzyznający się do bojaźni, wierny wszystkiemu co wiary godne więc *wierzący* poeta; zakochany w bezokolicznikach, przydawkach i sercu człowieczem wklętem w ramę okienną, w rdzę rynien i w stukot relsów koczujących pociągów — zda się być istotnie na najprawdziwszej drodze do prymitywu poetyckiego, ku któremu w ostatecznych poniekąd przezwyciężeniach zdąża.

Przestańmy mówić o urbanizmie!

— z —

NAJAZD CENTAURÓW — Braun Jerzy. Kraków 1922.

W rozwoju najnowszej literatury Kraków odegrał dotychczas swą rolę nader... niefortunnie. Bieg współczesnej myśli zareprezentował „Klub Kataryńki“ i jak w magicznem zwierciadle ujrzeliśmy nagle monstrum horrendum ingens przekomiczną opaczną karykaturę próżno usiłującą utrzymać w kałmuckiej — sit venia verbo — mordzie monokl i zabawiającą mało wybrednych nieprzystojnemi gestami.

Wobec tego, uderzywszy się w piersi wolimy przyznać, że Kraków dotąd wogóle nie przemówił.

Lecz — Czuj duch! Ziemia zdradziecko oddaje z dali tętent kopyt. Sławetni ojcowie, coście Przybyszewskiego i „dekadentyzm“ wyświecali z grodu, a grzechy waszej młodości podłem wystawieniem „Klątwy“ odkupić chcieli — pod broń! Zamknijcie ostatnią, jaka wam ostała bramę! Obsadzić barbakan! (O czemuż tam teraz panorama Styki nie zagrzewa was przodków pamiętnem męstwem!) Ziemia z oddali niesie głuchy tętent. Walą kopyta o głaz. Chłopokonie! Niepowstrzymana falanga łbów, piersi. Czuj duch! Najazd centaurów!!! O źle! sławetni ojcowie przepuściliście szpicę — Lecz zanim się dostanie na autodafe opinji, niech się tej wzmianki doczeka, co wam o sławetni zabrzmi hejnałem: Memento mori —

Pierwszem, co uderza, a raczej, co obuchem wali to moc, niepowstrzymany niczem pęd „dwudziestu krzepkich lat“. Temu żywiołowemu strumieniowi poezji nie starczy słownika ni systemu graficznego. Tworzy nowe słowa, nowe znaki pisarskie, archaizmy, którychbyś próżno szukał u Lindego. Z trzech przepełnionych temi neoarchaizmami utworów na pierwszy plan wybija się „Zawisza Czarny“ zdumiewający nową strukturą psychiczną bohatera, nie tego, co prosił o zbroję cienką jak „liliji płatek“ ale pierwotnego zawadyjaki, chłopa na schwał, któremu ojczyzną nie Polska (anachronizm dla XIV. w.) lecz średniowieczna koncepcja rycerstwa. „Rycerska bijatyka“ i „Na wielką wojnę“ to tylko odblask tych zagasłych już w duszy poety wizji, którym dał wyraz w „Zawiszy“. Oszołomieni rozgonami strusiogłowych wichrów i strzegotem lawin hulającej „Burzy w Tatrach“ gotowibyśmy nad wirtuozowskiem ściszeniem nastroju „Wiosny“ przejść do porządku dziennego popełniając niesprawiedliwość; ten „półdziecinny, półnaiwny“ erotyk przesłania bezpretensjonalną, karmelkową nieco formą tak subtelną ironję ledwie dostrzegalnego załzawienia, taką szczerość wypowiedzenia, kapitalnie podchwyconych najzwiewniejszych przejawów psychicznych, że mu obok Toastu, Zawiszy, Dzwonu. Burzy, Czardasza przedniejsze przyznamy miejsce.

Obok mocy uderza bezpośredniość i szczerość, bezmierne ukochanie życia jego radości i bólow jakimś karkołomnem uczuciem, o „waligórskim“ — rzekłbyś — rozmachu“.

Szczerość niepozbawiona kokieterji, gdy n. p. poeta mówi o swych dwudziestu latach lecz kokieterja ta chwyta za serce i choćby dla niej wolimy nie wspominać o rysunkach zdobiących (?) piękne „pierwszy raz“ zdrowego chłopca. — *jaz* —

KRESKI I FUTURESKI. Stanisław Młodożeniec. 1921. Nakład klubu Futurystów „Katarynka“

Jedyny z rajfurzącej gromady „kataryniarzy“ krakowskich, którego należałoby brać serjo. Pomijając bezsensowne i anczuciowe zlepki niedorzeczności (XX wiek,) futororobnia (raczej — potnia), które w każdym razie pod względem pomysłowości stoją wyżej od przejawów arogancji semickiej i plagjatorstwa (Siewierianin) Brunona Jasieńskiego — są w zbiorku tym wiersze niemal wstrząsające, o nieskłamanem wyczuciu najgłębszej melodji słowa; „ten dzień“ a nadewszystko „pogrzeb“ pod względem prostoty środków poetyckich i siły osiągniętego wyrazu jest wręcz wyjątkowem zjawiskiem, świadczącem o intuicyjnem wczuciu się w proces rodzącego się pod wpływem wstrząsu wewnętrznego słowa. Grafika zewnętrznie biorąc sztuczna, choć wewnętrznie i potencjonalnie słuszniejsza od narzuconego konwenansu gramatycznego, doskona lepodkreśla przewodnie motywy fonetyczne, dokoła których owija się dopiero wątek słowny. — *m* —

DIONIZJE. Jarosław Iwaszkiewicz. Warszawa 1922. Tow. Wyd. „Ignis“.

Szeroka skala liryczna; prawda przeżyć czasem może błahej, zawsze ujmującej treści; forma olśniewająca błyskami tryskających rakiet słów, co dziwią się sobie wzajem. Brak natomiast zupełnie pierwiastka konstrukcyjnego i pozytywnego.

Najgłębszą prawdą artystyczną — niedosyt i niesmak w ustach oszałamiającego się wielobarwnością życia utalentowanego poety.

— *m* —

PROZA

PIENIĄDZ — Andrzej Strug. — Tow. Wydawnicze „Ignis“ — Warszawa 1921.

Twórczość Andrzeja Struga wyrosła w całokształcie swym z posiewu rewolucji.

Epoka popowstaniowa, dźwigająca na sobie, jak przekleństwo pokoleń, upadek wiary w czyn, znalazła wreszcie po długich borykaniach nikłą z początku iskierkę nadziei w socjaliźmie polskim.

Ideologja romantyków z 1863 r, idących na śmierć i zatratę za wolność kraju, odżyła w całej pełni w ideologii socjalizmu polskiego, który na czerwonym i upiornym sztandarze swym wypisał czołowe hasło: Polska! Krew robotników, zraszająca żyźnie w 1905 r. bruki warszawskie i stoki cytadeli — przelana została za Polskę. Tę prawdę wypalić należałoby na wszystkich rogach ulic stolicy, „gdzie myśl nie trwa nawet godziny“, a cóż dopiero — pamięć.

Andrzej Strug był jedynym i wyłącznym w Polsce pisarzem, który na swe barki wziął cały ciężar obowiązku zaświadczenia przed światem i przed historją, że okres rewolucji, to — nowe ogniwo w długim łańcuchu walki o niezależność narodu.

Inteligent, oddający ostatnie tchnienie pod pętlą szubieniczną i robotnik, rzucający spracowaną dłonią pocisk w walce za socjalizm, zarówno i przedewszystkiem myśleli o Polsce.

Dopuszczenie do głosu nowej warstwy „ludzi podziemnych“ wychowanych w twardej szkole życia, wpłynęło orzeźwiająco na całe pokolenie, przeżarte nawskroś rdzą hamletyzmu i bezpłodnego ofiarnictwa. Nowi ludzie, nieno-

towani na kartach historji, stworzyli nową ideologję, pozbawioną wszelkiego sentymentalizmy i owej ulubionej łezki. A była rozpacz, była krew i śmierć, nie celem dla siebie jednak, ale poto, by „Jej zawsze służyć“ — poprzez uświadomienie obowiązku.

Powieści i nowele rewolucyjne Andrzeja Struga niedość, że odtworzyły niejako historycznie ideologję obozu bojowego minionych dni, ale przygotowały również do wypełnienia wielkiej misji dziejowej idące pokolenie piłsudczyków. W tem tkwi olbrzymie i wprost niedające się ocenić znaczenie twórczości Andrzeja Struga.

Temi kilkoma słowami objaśniającemi — przy świadomem przemilczeniu widocznych aż nadto walorów artystycznych — uważałem za stosowne poprzedzić sprawozdanie z ostatniej powieści Andrzeja Struga — dla uwypuklenia pewnej rozmyślności w twórczej pracy tego pisarza.

„Pieniądz“ jest pierwszą powieścią, pisaną na marginesie wyzwolonej Polski, aczkolwiek w przededniu epokowego czynu Józefa Piłsudskiego, czynu, który zawisł nad Polską, jako konieczność dziejowa, świadoma swych dróg i celów. „Pieniądz“ jest pierwszym rozrachunkiem wolnego człowieka, człowieka pracy z polipem kapitału.

Z nieubłaganą i bezlitosną wręcz prawdą, posuniętą aż do krańcowego realizmu, pokazuje autor, jak nadmiar bogactwa materjalnego wpływa na duszę człowieka, zatruwając ją miazmatami bestji.

Rzecz prosta, że środowisko miljarderów amerykańskich, w którem rozgrywa się akcja „Pieniądza“ to — pretekst do ukazania bezmiaru nędzy człowieka, uganiającego się za szczęściem materjalnem i w niem jedynie widzącego cel i kres poszukiwań człowieczeństwa. I dlatego ani Binnegan, ani Murway, ani nawet — ekstatyczna Jenny, nie będą w stanie rozwiązać tego prostego czy odwiecznego problemu ludzkości: w czem tkwi szczęście człowieka?

I oto, jesteśmy u progu tej napozór niedocieczonej zagadki i prawdy.

Uczestnicy wielkiej rewolucji 1905 roku przedstawieni z niebywałem, acz twardym i hartownym, jak stal, liryzmem w „Dziejach jednego pocisku“ lub w „Jutrze“, i miljarderzy amerykańscy z „Pieniądza“, to — ludzie czynu i twardej woli, zdobywcy niejako przyszłości. Zwycięstwo jednak należy nie do tych, którzy uwierzyli i wyłącznie w złotego cielca. Zwyciężą naprzekór światu „ludzie podziemni“ zmartwychwstającej Polski, dla której — przykazaniem: „wszystko dla ducha, a nic dla cielesnego celu“.

I to niema znaczenia, że cały ten świat z wyjątkiem starego Shurmana, ginie w odmętach oceanu, skoro istnieje właśnie „tamto“, obce przyziemnym żądzom. Świadomy samego siebie czyn i wszechogarniająca wola, wyrosła z ducha, sprzęgły się wiekuistą przysięgą w nowym typie wolnego człowieka zmartwychwstałej Polski — w pochodzie ku wyłaniającemu się jutru.

Oto — istotna wartość moralna „Pieniądza“, której dokopać się trzeba świadomie i z uporem. — *k* —



Projekt Exlibrysu. *L. Misky.*

SIOSTRA MARJA. Zygmunt Kisielewski. Nakładem J. Czerneckiego. Warszawa-Kraków.

Ujęcie wzburzonego potoku twórczej wyobraźni w łożyska uświadomionego sobie samemu intelektu, wprowadza do dzieła sztuki zatracony w ostatniem pięćdziesięcioleciu pierwiastek konstrukcyjny. Boć przecie, w samem neoromantyzmie, a przedewszystkiem w impresjonizmie literackim ślepy żywioł rozsadza sprzęgła twórczej architektoniki, zatracając wiecznie nową koncepcję zwartej budowli na bezmiarach wieczności.

Opanowanie uczuciowości przy pomocy intelektu, szczęśliwe skojarzenie liryzmu z rozsądkiem twórczym, występuje w całej pełni w ostatnich utworach Zygmunta Kisielewskiego.

Jeżeli w „Juljuszu Syreniu“ wyczuwa się jeszcze walkę tych dwóch pierwiastków, to w „Siostrze Marji“ przewaga intelektu nad liryzmem święci zasłużone sukcesy.

Dzieje dwóch serc, wplecionych, jak Iksjon w błędne koło bytu i znajdujących w końcu w samych sobie zakątek szczęścia na ziemi, stanowią osnowę tej oryginalnej noweli.

Podkład moralny, czerpiący źródło z Chrystusowej ideologji, tak zszarganej na wszystkich rynkach literatury kontynentalnej, streszczającej się w takiej myśli, że dobry uczynek jednej duszy ludzkiej wymaga odpłaty w postaci takiegoż uczynku ze strony drugiej, ginie napozór w interesującej fabule. Czytelnika współczesnego odzwyczajono już dawno wyciskać z przenikających zdarzeń miąższ moralnego zadowolenia.

„Siostra Marja“ powstała z głębin poezji człowieczej, której na imię: bezgraniczna dobroć, płynąca nie z pewnych nakazów i obowiązków społecznych, ale sięgająca do trzew serca ludzkiego zbratanego nierozdzielnie z źdźbłem trawy przydrożnej i z żywotem jednodniowym zabłąkanego w życie motyla.

Konstrukcja noweli — zwarta i mocna. Zdania krótkie przewijają się, jak błyski szpady damasceńskiej, znajdując w śmiałych rzutach obrazy pełne prawdy psychologicznej i nieubłaganej logiki. Poniekąd — proza przyszłości, oddająca w świetnych skrótach całą migawkowość i zapęd współczesnej epoki.

Obok „Juljusza Syrenia“ zajmuje „Siostra Marja“ w twórczości Zygmunta Kisielewskiego jedno z czołowych stanowisk. — *k* —

VENI CREATOR — Wanda Miłaszewska 1921.

Pierwsza książka! — a nic z tej przysłowiowej „pierwszości“; nic mdłego, obełganego i załganego. Najszczersze wzruszenia daje ten tom rzetelnych nowel; autorka ma prawo żądać wzamian od nas wzruszenia.

Wchodzimy do pracowni niewieściej, okna otwarte; świeży wiew wichru wiosennego; jest nam dobrze, jest nam

ludzko; nie wstydzimy się łez, nie skrywamy śmiechu pod maską dobrej maniery; tak tu wszystko skromnie a trafnie powiedziane.

Niepośledniej wartości jest nowela „Valdi". Od czasów Dygasińskiego lepszej noweli „zwierzęcej" w literaturze polskiej nie było. Ktoś twierdził, że pies wabiący się Valdi jest nazbyt uczłowieczony — jest nim o tyle o ile człowiek zło wietrzący, w życia zapleciznach zagmatwany - nie umie klęsce zejść z drogi; nie potrafił tego ani Valdi ani — Napoleon; obaj znaleźli na mapie życia swoje Vaterloo.

Veni Creator — hymn ślubny p. Miłaszewskiej z literaturą polską odegrany jest nienagannie. Z szczerego serca życzymy szczęśliwych miesięcy miodowych i jeszcze szczęśliwszego pożycia małżeńskiego.

— *z* —

ŚWIĄTKI I CENTAURY. Edwin Jędrkiewicz; Lwów 1921.

Duża możność uplastyczniania wizji marzeniowych; autor z łatwością przeszedł mimo niebezpieczeństw personifikacji; Jędrkiewicz wierzy w uzdajane niemożliwości jak chłop dla którego dusiołek, strzyga abo „corny" w maź rozlewający się po pierwszych kurach jest prawdą tak realną jak socha, skopek czy putnia. W wierze tej leży bezsprzecznie udzielająca się sugestja „Świątków i Centaurów". Może nieopatrznie widzenia i tematy rozwleka autor po runi zdań jak niesforną przędzę aż po zagaje niezbyt chlujne stereotypowości literacko-nowelistycznych; lecz to już jego sprawa; przed sobą bierze za to odpowiedzialność. Umiejętność konstrukcyjna duża; „Chimera" i „Gość" w klasztorze idą w pierwszym szeregu.

— *z* —

TEATR W WIĘZIENIU. Antoni Słonimski. Powieść. Tow. Wyd. „Ignis" Warszawa 1922.

Banalny scenarjusz kinematograficzny (pocieszcie się: jest i „pogoń") pisany lichą polszczyzną. Beznadziejną jałowość i pustkę bezbrzeżną, ziejącą z tej iście więziennej powieści, absolutny brak wyczucia tętna życiowego i duszy ludzkiej, ratuje się od czasu do czasu jakimś dickensowskim oklepanym kawałem, paralitycznym „witzem" z „Ziemiańskiej" czy z „Udziałowej", paradoksem, uszczkniętym z graciarni „dobrodzieja nędzarzy" Muggera z Mugger-Ghautu, vulgo Oskara Wilde'a, jakimś ochłapem niedogryzków Pochronia. Firma wydawnicza „Ignis", która już zdawna stała się przytułkiem jednej choć coprawda krzykliwej kliki literackiej w swym patryotyźmie lokalnym zachodzi aż do popierania skandalicznej miernoty byle „swoich" ludzi. Zresztą — „firma" ma słuszność. Książka odpowiada całkowicie gustom międzynarodowego paskarstwa — zbyt więc ma zapewniony.

— *m* —

TAMTO I TO

„PRZEGLĄD WARSZAWSKI", którego 3 numery z niebywałą jak na nasze stosunki wydawnicze punktualnością wyszły już z druku, ma wszystkie dobre i złe strony pisma profesorskiego. Przeważna część prac, zamieszczonych w tem piśmie, stoi na wysokim poziomie naukowym; przeglądy rozmaitych działów nauki i sztuki rzeczowe, ścisłe i przedmiotowe. Jedno z niewielu pism obecnych w Polsce, które się liczy z powagą słowa drukowanego. Dział poetycki zlekceważony dość gruntownie, co ze względu na cele pisma jest dość zrozumiałe. Jedyne pismo, które czyni usiłowania, by poważnie i rzeczowo postawić dział krytyki wszystkich rodzajów sztuki. Ze względu na straszliwy zamęt pojęć obecnie w tej dziedzinie, na brak całkowity poważnej krytyki, zastąpionej przemyślnie ordynarną antoreklamą na szpaltach „Kurjerków" mniej lub więcej „Polskich" — usiłowania „Przeglądu Warszawskiego" w tej dziedzinie zasługują na całkowite uznanie i poparcie.

Praktyka nie zawsze odpowiada usiłowaniom, ale to już rzecz ludzka. Ze względu na to, że dział krytyki poetyckiej leży nam nadewszystko na sercu, poświęcimy słów kilka tej kwestji Bojownikiem haseł krytycznych „Przeglądu" jest p. Stefan Kołaczkowski, który w związku ze swojem „credo" krytycznem zamieszcza w N. 1 tego pisma na miejscu naczelnem swój artykuł, „O prostocie" P. Kołaczkowski utożsamia w artykule tym postawę twórczą artysty z postawą moralną, której podłożem jest pokora, a przejawem — prostota. Tak ewangeliczne stanowisko oczywiście da się z pewnemi zastrzerzeniami zastosować względem „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa" i „Pana Tadeusza" (stąd zresztą zostało wysnute); trudniej i z większą biedą (gdy się przełknie niepostrzeżenie „Króla Duchu" i „Samuela Zborowskiego") względem Słowackiego, ale absolutnie zawodzi, gdy się na tem pasterskiem stanie stanowisku względem poezji najnowszej. Nic więc dziwnego, że krytyki p. Kołaczkowskiego, naogół wziąwszy, są poważnie i rzetelnie (przyznać trzeba) branem — nieporozumieniem.

Przedewszystkiem występuje zasadnicza niechęć do wszelkiego szukania, lecha, która wprost dziwić może u tak młodego jeszcze krytyka. Bądź poczciwy miej swój świat moralny (edle Einfalt...), a reszta sama się znajdzie... Ten kaznodziejski ton moralizującego wujaszka (na którym sam krytyk słusznie się łapie) wyłącza wszelką możliwość głębszego i *bezpośredniego* odczucia poezji. P. Kołaczkowski lubuje się w akcentowaniu znaczenia prawd (jak sam stwierdza) banalnych, lecz co smutniejsza, że banalności te bierze istotnie na serjo. Np. kwestja rygorystycznego oddzielania t. zw. treści od t. zw. formy zdaje się być dla niego kwestją życia i śmierci. Zwłaszcza nowe środki poetyckie będą dla niego tylko i wyłącznie formą. Dobre to jest oczywiście jako hipoteza pomocnicza w szkole, ale obecnie w poważnej krytyce poetyckiej (po pracach Lippsa choćby) siadać na konika tak naiwnego podziału jest rzeczą niemal humorystyczną. Nic jednak dziwnego, że skorą człowieka zirytują pewne nowe środki techniki poetyckiej — nic się prócz nich nie zobaczy, oko skorupy rzeczy przebić nie zdoła i wobec tego cała poezja najnowsza stanie się czczym i a — lub może (o zgrozo!) niemoralnym formalizmem. Wątpimy jednak czy z tego punktu widzenia da się w nią wniknąć lub coś istotnego o niej powiedzieć. Można zazdrościć poczucia czystości, spokoju ducha, i równowagi statycznej temu i owemu z szanujących się kry-

tyków, ale.. Postawa prostoty i czystości moralnej jest jedynie twórcza?.. Mój Boże! Czyż Felicjan Rops i Franciszek Goya nie byli artystami?...

Ponosząc część odpowiedzialności za pierwsze 3 numery „Ponowy", nie możemy pominąć milczeniem wzmianki p. P. W. o tem piśmie w N. 1 „Przeglądu Warszawskiego". Czy bardzo naskórkowa i z ducha irytacji poczęta, choć w mentorską przyobleczona powagę, krytyka poezji p. Jana N. Millera pióra p. Stefana Kołaczkowskiego istotnie wystarcza, aby czytelnicy „Przeglądu Warszawskiego" powzięli należyte przekonanie o „Ponowie" posiadającej kilkunastu współpracowników, możnaby zwątpić, ale oczywiście niema na to rady, skoro przekonanie to p. P. W. wystarcza. Ten sam krytyk stwierdza, że walka „Ponowy" z manjerą romansopisarską jest zgoła zbyteczna, że „polski Meredith i Wells np. bardzoby się przydali..." Zapewne. Przydałaby się i kanalizacja w Łodzi i zamiatanie ulic w Żychlinie, co nie przeszkadza chyba temu i owemu z architektów polskich myśleć o żelazo-betonie. Geneza prymitywizmu „Ponowy" wysnuta z wiersza p. Iwańskiej i uwaga o skutkach bezładnej lektury, poparta dowodem gruntownej znajomości arytmetyki jest fenomenalnym przykładem „odpornego" stosunku do czegoś co się staje i do czego już z tego właśnie względu odczuwa się niechęć tak zasadniczą, że uniemożliwia ona nawet zrozumienie najbłahszej przenośni.

„Przegląd Warszawski" wita ogłoszenie fragmentu „Darczanki" mickiewiczowskiej jako największą senzację literacką ostatnich miesięcy... To wyznanie rzuca najwięcej światła na pismo. Więc odgrzebanie błahego studenckiego tworu naśladowczej Muzy mickiewiczowskiej z tych czasów jest tak wiekopomnym dla chwili obecnej wydarzeniem...? Trudno o przejaw większego skostnienia i oderwania od życia.
Gdzież wicher, który wam oczy otworzy na pochód tragiczny stającego się życia. Czyż dla ułatwienia pracy archeologom świat zastygł a Bóg odpoczywa?... — *m* —

UKRYWAJĄCY SIĘ POD PRZYŁBICĄ trzech literek m. j. g. niejedyny w polskiem piśmiennictwie współczesnem grishendler (każdy naród ma takich i tylu grishendlerów na jakich i na ilu zasługuje) ogłosił w „Skamandrze" płaskie i niesmaczne wypracowanie na temat krytyki Jana Nepomucena Millera o „Teatrze w więzieniu". Wolno jest oczywiście „Skamandrowi" przyhołubiać do łona wszystkie karjerowiczowskie wielkości Młodej Polski, przygarniać skwapliwie — i nawet z metodą — co najsprytniejsze pióra, jak Rzeczpospolita długa i szeroka od Słonima po Synaj — wolno uprawiać systematycznie hodowle dogodnych poetów wszelkiego pokroju, z różnych stanów i z pod różnych znaków. Ale stanowczo zapominać nie wolno o dystansie, jaki dzieli śmiałe i odważne wypowiedzenie prawdy krytycznej od pretensjonalnych płodów grafomanji, o poważnem stanowisku, które obowiązuje w stosunku — do talentu. A dowcip jeżeli nie ma spalić na panewce, musi być *dowcipem:* nie zastąpią go wątpliwej wartości kawały, aluzje, przycinki i docinki. Co najwyżej — obrócą się przeciwko ich autorowi, który, jeśli to pojmie — przestanie się dziwić, że krytyka Millera jest aż tak prawdziwa — a „Teatr w więzieniu" — pożal się Boże — itd. Replika niniejsza jest dokładnem (poza przestawieniem nazwisk i opuszczeniem kilku słów jak n. p. „zapoznany") powtórzeniem „wzmianki" pod tym samym tytułem ogłoszonej w „Skamandrze". Stosunek p. mjg. do sztuki określony jest z niezwykłą wyrazistością w końcowym zdaniu w którem autor stwierdza kategorycznie, że pokup świadczy o wartości dzieła. Ten stosunek geszefciarski nie jest dla nas niespodzianką panie grishendler. Mniszkówna jest tego samego zdania co pan; czemuby nie! — byle handel szedł. Jedno jeszcze — tak sobie nawiasowo — statystyka kupujących wyjaśniłaby (w wypadku o którym mowa) sprawę bardzo zdecydowanie — stulti sat — — *c* —

OSNOWY I PRZĘDZE

OKŁADKĘ niniejszego zeszytu wykonał kierownik artystyczny pisma art. mal. Edward Porządkowski; święty zbór Czartaka — na tle wszelkich szczytów od Beskidu po Himalaje — w towarzystwie nieodrodnych sióstr gwiazd i komet, brata księżyca budzonego ze snu miechem właściwym, przyjaciela mroku poza który sięgają ostateczne modlitwy poetów.
TEKĘ GRAFICZNĄ CZARTAKA otwierają dwa drzeworyty załączone do pierwszego zeszytu: „Misterjum" (linoryt) Edwarda Porządkowskiego i „Madonna" (drzeworyt) Wacława Wąsowicza — poszukiwacza skutecznego nowej formy, interpretatora głębin życiowych — zawsze na drodze ku wieczności.
Wąsowicz wydał w r. 1921-ym „Tekę drzeworytów"; prawda jego talentu przekonała ostatecznie materję; drzewo łagodnieje, poddaje i oddaje się finalnie; drzeworyty Wąsowicza żyją samopas i samoistnie; produkcją będąc godną i prawą nie zmierzają ku reprodukcji; bynajmniej; wykazują zwierzchnicze opanowanie materjału: wyrażają w tajemnej mowie głębiny formy rodzącej; w tem znaczeniu są formistyczne; w innym także; połowa drzeworytów „Teki" to arcydzielne senzacje; o drugiej można to samo powiedzieć — odpowiedzialność będzie nieznaczna.
AUTORAMI ILUSTRACJI znajdujących się w tekście są: na str. 3-ej — Jerzy Hulewicz (linoryt), na str. 21-ej — Ludwik Misky (cynkotypja), na str. 22-ej — Edward Porządkowski (drzeworyt), na str. 27-ej — Ludwik Misky (cynkotypja).
GODŁO CZARTAKA na stronicy czołowej (linoryt), na str. 6-ej (cynkotypja) oraz na odwrocie okładki wykonał Edward Porządkowski.
ADRES CZARTAKA: Warszawa, Wspólna 47 A m 3; Gorzeń-górny, p. Wadowice, Województwo Krakowskie.
REDAKTORZY CZARTAKA przyjmują interesantów w Warszawie w 47. domu ulicy Wspólnej we wtorki od godziny siedemnastej do dziewiętnastej; w Gorzeniu po porozumieniu się listownem.
SKŁAD GŁÓWNY CZARTAKA mieści się w księgarni warszawskiej pod godłem „Ogniwo" w 6-ym domu ulicy Sienkiewicza.
DRUK PIERSZEGO ZESZYTU CZARTAKA ukończono dwudziestego piątego popołudnia styczniowego tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku pod kierownictwem Emila Zegadłowicza. Składał: EK., odbijał: J. Petrykiewicz.

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO:

NAKŁAD CZARTAKA:



WYTŁOCZONO W DRUKARNI FR. FOLTINA W WADOWICACH.
WOJEWÓDZTWO KRAKOWSKIE.